



ANTONI KOTAŃSKI
1905—1978

Przegląd Historyczno—Oświatowy
R. XXXIII 1980 nr 2 (120)
Indeks 37170/37093

Minęła już 12 rocznica śmierci dra A. Kotańskiego, zasłużonego działacza ZNP, wspaniałego organizatora i wieloletniego dyrektora (rektora, jak go słuchacze nazwali) Studium Nauczycielskiego w Toruniu. Dotychczas nie ukazała się żadna praca omawiająca życie i działalność tego zasłużonego dla oświaty pedagoga*.

Urodził się 2 lipca 1905 r. w Eżowicach powiatu grójeckiego w licznej chłopskiej rodzinie, miał dziewięcioro rodzeństwa. Był synem Jakuba, robotnika folwarczego, tzw. wyrobnika, i matki Marii z domu Sielska. Wychował się w okolicach Sierpca, dokąd rodzice przenieśli się nabywając 15-morgowe (ok. 7 ha) gospodarstwo rolne w Sułocinie. Do Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej uczęszczał w Sierpcu, maturę zdał jako eksternista. Następnie ukończył kurs wstępny dla kandydatów na nauczycieli i w 1925 r. rozpoczął pracę nauczycielską na Kresach Wschodnich w jednoklasowej szkole w Łopiczańskiej Puszczy, a przez następny rok uczył w jednoklasowej szkole w Pudzimiu, powiat Lida, województwo wileńskie. Przez dwa lata był kierownikiem 3-klasowej szkoły powszechnej w Hończarach w tym samym powiecie. W latach 1929—1936 kierował 5-klasową szkołą powszechną w Niemnie, a przez następny rok był kierownikiem 5-klasowej szkoły w Zabłociu. Od 1937 r. do wybuchu II wojny światowej był kierownikiem 7-klasowej szkoły powszechnej w mieście powiatowym Lida.

Pracując na Wileńszczyźnie stale podnosił swoje kwalifikacje zawodowe. W 1934 r. ukończył Wyższy Kurs Nauczycielski (WKN) w Warszawie i rozpoczął studia w Instytucie Pedagogicznym ZNP w Warszawie.

* Opracowano na podstawie źródeł: Archiwum Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy teczka osob. nr 579; Archiwum Warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, zespół akt osobowych; Archiwum UMK w Toruniu, sygn. H-46 16; Księgi protokołów Zarządu Oddziału ZNP w Toruniu nr 1, 2, 3, 4, 5; Materiały sprawozdawcze Zarządu Okręgu ZNP na zjazd delegatów w Toruniu 26 06 1959 r., s. 35; „Studia Socjologiczne”, 1965, nr 5 (18), s. 138; „Robotnik Pomorski” z 22 X 1946, nr 286; „Głos Pomorza” z 25 III 1948 r., nr 81; z 28 IV 1947 r., nr 106; z 2 XII 1947, nr 339; „Gazeta Toruńska” z 23 XII 1948 r. nr 8; z 21 XI 1961, nr 276; z 20 XI 1970, nr 276; „Gazeta Toruńska” z 1 VII 1978 (nekrolog).

Od 1926 r. był członkiem ZPNSP, a od 1930 r. członkiem ZNP. Pełnił funkcję sekretarza i przez 5 lat prezesa ogniska. W 1936 r. został członkiem zarządu Oddziału Powiatowego ZNP w Lidzie i był przewodniczącym wydziału organizacyjnego. Wykładał na kursach TUR (Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych), działał w spółdzielczości wiejskiej i współdziałał ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej.

Od września 1939 r. był dyrektorem szkoły podstawowej w Lidzie, od stycznia 1940 r. zastępcą dyrektora średniej 10-letniej szkoły radzieckiej. W roku szkolnym 1940/1941 uczył geografii w klasach V—X. W czasie okupacji hitlerowskiej musiał przenieść się na wieś, gdzie się ukrywał, pracując u miejscowych chłopów w gospodarstwie rolnym, ucząc tajnie miejscową młodzież. Należał wtedy do AK w oddziale porucznika Ponurego i przyjął pseudonim Sawicz-Sielski.

W ramach repatriacji obywateli polskich ze Związku Radzieckiego przyjechał w maju 1945 r. do Torunia i rozpoczął pracę jako nauczyciel, następnie kierownik Szkoły Podstawowej nr 20. Od 1 września 1949 r. przeszedł do pracy w Studium Przygotowawczym do Szkół Wyższych UMK (Uniwersyteckie Kursy Przygotowawcze do Szkół Wyższych) jako wykładowca, obejmując od 1 listopada 1950 r. funkcję dyrektora, którą pełnił aż do likwidacji studium w 1954 r. Na bazie likwidującego się Studium Przygotowawczego przy ul. Grudziądzkiej powstało w tym samym budynku Studium Nauczycielskie. Było to pierwsze studium nauczycielskie w b. województwie bydgoskim, a siódme w kraju. A. Kottański został 1 sierpnia 1954 r. dyrektorem organizującego się studium nauczycielskiego, kierował nim przez 17 lat aż do jego rozwiązania 31 grudnia 1971 r.

Budynek w tym czasie poważnie rozbudował i dostosował do potrzeb prężnie rozwijającego się SN i jego potrzeb dydaktycznych i wychowawczych. SN cieszyło się wtedy wśród władz politycznych i oświatowych estymą, podejmowano różnorodną współpracę ze środowiskiem naukowym i nauczycielskim oraz na rzecz miasta i regionu. W ciągu tych 17 lat toruńskie SN ukończyło na wszystkich kierunkach i systemach (stacjonarnie, zaocznie i eksternistycznie) przeszło 5 tysięcy nauczycieli z województwa bydgoskiego, toruńskiego i włocławskiego. A. Kottański 31 grudnia 1971 r. ze względów zdrowotnych przeszedł na emeryturę po przepracowaniu w oświacie 46 lat.

Od pierwszych dni pobytu w Toruniu brał On udział w pracy społecznej, szczególnie przy organizowaniu oddziału ZNP. Od czerwca 1945 r. uczestniczył w plenarnych posiedzeniach zarządu i pracach prezydium Oddziału ZNP. W czerwcu tego roku został delegatem na zjazd Okręgu ZNP. Powierzono mu też kierowanie wydziałem społecznym. W 1946 r. wybrany został delegatem na Okręgową Konferencję Związków Zawodowych w Bydgoszczy. „Na Nadzwyczajnym Walnym Zjeździe

Oddziału Miejskiego i Powiatowego ZNP dnia 18 października 1946 r. został przez aklamację wybrany w obecności około 700 członków prezesem oddziału dotychczasowy przewodniczący pracy społecznej”; funkcję tę pełnił aż do 25 lutego 1953 r. Były to trzy trudne kadencje, które wymagały od prezesa nie tylko umiejętności organizacyjnych, ale zdecydowanej postawy politycznej i ideowej. W odbudowującym się państwie wiele było wtedy bardzo trudnych spraw, wymagających szybkiego uregulowania, jak wynagrodzenia nauczycieli, które były krzywdząco niskie, mieszkania dla nauczycieli powracających z wysiedleń w czasie okupacji, z obozów jenieckich i koncentracyjnych i ze zniszczonych miast i repatriujących się zza Bugu. Wszyscy byli „nadzy i głodni”, bez mieszkań, mebli, odzieży itp. Oddział przejął 9 domów mieszkalnych pod swą tymczasową administrację, zorganizował bursę ZNP dla dzieci nauczycielskich z całego okręgu, pokoje gościnne, stołówkę nauczycielską, która wydawała dziennie około 1200 obiadów, wytwórnę pomocy naukowych, Spółdzielczą Księgarnię Nauczycielską. Zajmował się rozdziałem obuwia, odzieży, chleba, kaszy, cukru, mąki, mięsa itd.

A. Kotański był z ramienia ZNP radnym MRN w latach 1948—1963 i przewodniczącym komisji finansów i budżetu MRN. Przez 17 lat (1957—1974) był członkiem Prezydium Zarządu Okręgu ZNP, kierownikiem wydziału obrony prawnej Okręgu ZNP, obrońcą na rozprawach komisji dyscyplinarnej przy Kuratorium i Ministerstwie Oświaty, ławnikiem Okręgowego Sądu Pracy. Przewodniczył Zarządowi Miejskiemu Towarzystwa Burs i Stypendiów, był członkiem ZM TSS, następnie TKKS, lektorem i działaczem TPR. Od 1946 r. był członkiem PPS, działał w Kole Nauczycielskim PPS, a od zjednoczenia w 1948 r. członkiem PZPR, lektorem KW PZPR i wieloletnim wykładowcą WUML w Bydgoszczy i Toruniu. Działał też w Polskim Towarzystwie Socjologicznym, wygłaszając na III Ogólnopolskim Zjeździe PTS w 1965 r. informację naukową na temat kształtowania się poglądów nauczycieli na rolę i funkcję zawodu nauczycielskiego w województwie bydgoskim.

Pracując i ucząc innych, sam stale doskonalił się, zdobywając coraz wyższe kwalifikacje naukowe i pedagogiczne, bo w 1947 r. oprócz WKN ukończył rozpoczęte studia w Instytucie Pedagogicznym ZNP. Na uniwersytecie w Poznaniu uzyskał stopień magistra socjologii w 1951 r., na Wydziale Humanistycznym UMK w Toruniu w 1970 r. obronił pracę doktorską: „Poglądy słuchaczy Studium Nauczycielskiego na zawód nauczyciela”. Był współautorem opracowania A. Kotański, P. Dąbrowski, J. Radecki, *Z działalności ideowo-wychowawczej i dydaktycznej Studium Nauczycielskiego w Toruniu* (Toruń 1971, ss. 147, tab. 14).

Za wieloletnią działalność społeczną i zawodową został wyróżniony najwyższym odznaczeniem: tytułem honorowym „Zasłużony Nauczyciel

PRL", Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Brązowym Medalem za zasługi dla obronności Kraju, Złotą Odznaką ZNP, Złotą Odznaką TSS i TKKS, Odznaką Za zasługi dla ZSP i Odznaką 20-lecia ZSP.

Zmarł 20 czerwca 1978 r. w Warszawie.

HENRYK S. KAMIŃSKI
Toruń

HENRYK NOWAKOWSKI
Gniezno

ZARYS DZIEJÓW SZKOŁY KATEDRALNEJ W GNIEŹNIE

Szkola katedralna (tumska) w Gnieźnie powstała prawdopodobnie równocześnie z ustanowieniem metropolii kościelnej. Założono ją w myśl reguły św. Chrodeganga i postanowień synodu akwizgrańskiego. Uczono w niej chłopców początkowo sposobiących się do stanu duchownego, a później i do innych zawodów. Już w XI w. szkoła katedralna zyskała rozgłos w całym kraju, „odznaczała się (jak czytamy w „Roczniku Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk”, tom XIX) wzorowym urządzeniem i obfitym nauk wykładem”. Z historii Jana Długosza dowiadujemy się, że uczniem gnieźnieńskiej szkoły katedralnej był biskup krakowski Stanisław Szczepański. Do szkoły tej uczęszczali: późniejszy biskup krakowski i podkanclerzy koronny Piotr Tomicki i znakomity pisarz Hieronim Powodowski.

Szkola katedralna (tumska) stała do 1613 r. blisko katedry. Ale po pożarze w 1613 r., który zniszczył budynek szkolny, arcybiskup Baranowski polecił ze względu na niebezpieczeństwo ognia grożące katedrze zbudować szkołę na miejscu dawnych wikariatów od zachodniej strony kościoła. O tym, jak wyglądał budynek szkolny, nic nie możemy powiedzieć.

Do szkoły uczęszczali nie tylko synowie wielmożów, rycerzy, a potem szlachty, ale i synowie mieszczańscy, a nawet chłopcy. Z pracy Antoniego Karbowiaka *Dzieje wychowania i szkół w Polsce* dowiadujemy się, że w 1453 r. kształcił się w szkole tumskiej Absolon Banke, syn patrycjusza wrocławskiego. Opiekun chłopca, wikary gnieźnieński, zwrócił się do jego ojca z prośbą o przysłanie synowi I części *Summy* Tomasza z Akwinu, książki objętej programem nauczania.

Liczba uczniów była niemała. Antoni Karbowiak w swej pracy powiada, że w 1505 r. była w gnieźnieńskiej szkole katedralnej „*scholarum glomerposa et immerrosa turba*”, tzn. skupiający się i cisnący się wszędzie tłum żaków.

Bieda była często nieodłącznym towarzyszem uczniów, pochodzących z warstw niższych. Ubogim żakom przychodzili z pomocą członkowie kapituły, z arcybiskupem na czele, i panujący książęta. W piśmie cerekcyjnym z 1243 r., wydanym przez księcia wielkopolskiego Przemysława,

dotyczącym klasztoru bożogrobowców miechowskich w Gnieźnie zastrzeżono, aby część dochodów klasztoru przeznaczano na utrzymywanie biedoty zakowskiej. To, że chodziło tu tylko o żywność, czyli o leguminy, świadczą słowa zawarte w Kodeksie Dyplomatycznym Wielkopolski (I 201, 202): „*Aliqui etiam scolares pauperes ibidem tenebuntur confoveri in expensis, non in vestimentis, ex voluntate magistri hospitalis*” („Jacyś też biedni scholarze tam otrzymują z polecenia kierownika szpitala pomoc w postaci żywności, a nie w postaci odzieży”).

W aktach kapitulnych z 1628 r. mamy wzmiankę o uczniach spoza Gniezna, którzy otrzymywali wsparcie od szpitala św. Jana, będącego w posiadaniu bożogrobców miechowskich. W 1424 r. Piotr Wolfram, scholastyk gnieźnieński, ofiarował szkole na utrzymanie ubogich uczniów sypkę zbożową z Grotkowa i trzy grzywny rocznego czynszu zabezpieczonego na Jarząbkowie. Ponadto staraniem kapituły biedni uczniowie otrzymywali pewną ilość bochenków chleba, ale było to zbyt mało jak na ich potrzeby. Często musieli żebrać wśród mieszczan. Za posługi w kościele św. Jana dziesięciu żaków dostawało bezpłatne obiady. Mikołaj z Górki, kanclerz poznański, kanonik gnieźnieński, poczynił zapis na rzecz scholarów, ofiarując cztery grzywny rocznego czynszu ze Strzeżewa i dwie grzywny z Grabowa¹. W 1480 r. lektor prawa kanonicznego, Władysław Głębocki, pragnąc, by żacy lepiej śpiewali w czasie nabożeństw w niedzielę i święta, zobowiązał się dawać sześciu uczniom sześć porcji chleba, tyleż mięsa lub ryb lub dwanaście jaj, następnie pewną ilość jarzyn lub kaszy i dzban piwa. Szpital św. Jana w Gnieźnie dysponował pewną ilością miejsc dla chorych żaków. Ta pomoc była jednak niewystarczająca, często doraźna.

Niedolę biedoty zakowskiej uwypuklił żyjący w I poł. XV w. kanonik wrocławski, Andrzej Łaskarz. Wygłosił kazanie na synodzie gnieźnieńskim. Mówił m.in. o uczniach szkoły katedralnej. Zazaczył, że swym śpiewem w kościele dobrze służą Bogu, ale za swe posługi nie mają żadnego wynagrodzenia od kapituły, kanoników, bo ci są nieobecni w katedrze w czasie nabożeństw. Żacy są boski, obdarci, wygłodniali². Uczniowie szkoły katedralnej korzystali z łaźni, która znajdowała się nad jeziorem Jeleń (obecnie Jelonek). O tym wiadomo nam z treści dyplomu z 1438 r. wydanego w Gnieźnie. Jest tam mowa o sporze o łaźnię między scholastykami gnieźnieńskimi, którzy mieli pieczę nad szkołą katedralną, a wikariuszami gnieźnieńskimi. Sąd rozjemczy w składzie: proboszcz Przedwój z Grądów oraz kantor gnieźnieński Jan z Brzostkowa, przydzielił łaźnię scholastykom³. W 1473 r. ówczesny scholastyk wydzierżawił łaźnię, ale zastrzegł dla uczniów prawo korzystania z kąpieli.

Jak przedstawiał się stan organizacyjny szkoły, jaka była kadra nauczycielska, czego uczono? Pieczę nad szkołą miała kapituła z arcybiskupem na czele. Bezpośrednim przełożonym szkoły był z ramienia kapituły scholastyk, czyli magister. Należy nadmienić, że scholastyk

w kapitule był z kolei trzecim prałatem tuż po prepozycie i dziekanie. Administracja szkoły, nadzór pedagogiczny, dobór treści nauczania, metod, werbowanie nauczycieli, opłacanie rektora, który *de facto* kierował szkołą i uczył, oto obowiązki i prawa scholastyka. On sam nie uczył, najczęściej wyręczał się rektorem. Scholastyk wizytował szkołę, badał poziom moralny uczniów. W aktach kapitulnych, w dyplomach można znaleźć nazwiska scholastyków, profesorów, prefektów lub rektorów szkoły. Wymienię niektóre: Wacław, Jan, Filip, Mikołaj z Gostynia, Klemens, Jan zwany Brotka, Piotr, Maciej, Sędziwoj, Czechła, Jan z Wielunia, Andrzej Myszkowski, Tomasz ze Strzepina, Michał Lasocki, Jan Salomon, Władysław Głębocki, Jacek Święcicki, Andrzej Podolski, Mikołaj Kalsztyn, Dionizy Politowicz, Sureński, Żabicz, Sikorski, Piotr Jastrzębski, Kosmaciński, Jasieniecki, Ignacy Bysikiewicz, Wincenty Kazubski, Grzegorz Piaskowski, Michał Laskowski.

Baza materialna szkoły była bardzo skromna. Akta kapitulne mówią jedynie o kilku legatach, i tak Mikołaj z Górki, kanonik gnieźnieński, poczynił zapis dla prefekta (rektora) szkoły gnieźnieńskiej na swych dziedzicznych dobrach: Strzeżewie i Grabowie, w wysokości 90 grzywien kapitału; arcybiskup gnieźnieński, Stanisław Karnkowski, przekazał w 1591 r. kapitule jako darowiznę swe dobra: Kwieciszewo, Goryszewo, Gruczno, Kozielce, ale zobowiązał kapitułę, by prefektowi szkoły katedralnej wypłacała rocznie 100 zł. pensji. Kapituła przeznaczała też sporadycznie pewne kwoty na utrzymanie nauczycieli, przydzielała żywność, ale to nie wystarczało, by zapewnić nauczycielom nawet skromne utrzymanie. Jedynie dwa stanowiska były dobrze płatne: profesora teologii i profesora prawa kanonicznego. Ustanowił je w 1426 r. arcybiskup gnieźnieński Wojciech Jastrzębiec. Jego staraniem za zgodą papieża Eugeniusza IV i soboru bazylejskiego dwie kanonie: fundi Łonienno i Wiewiec, stały się źródłami utrzymania obu profesorów.

Zdaniem Jana Korytkowskiego pierwszym profesorem teologii w szkole katedralnej był mistrz Grzegorz¹. Gdy w XV w. szkoła katedralna została podporządkowana Akademii Krakowskiej, ona w porozumieniu z kapitułą dostarczała szkole nauczycieli, mianowicie mistrzów, czyli rektorów, profesorów, najczęściej doktorów filozofii. Językiem wykładowym w gnieźnieńskiej szkole katedralnej była łacina. Ale nauczyciele w myśl dekretów synodalnych z lat 1237, 1285, 1313, 1320 musieli włądzać językiem polskim, by interpretować teksty ksiąg łacińskich. W XI i XII w. wykładano tylko siedem sztuk wyzwolonych, tj. *septem artes liberales*, na które złożyły się następujące przedmioty: gramatyka, dialektyka, retoryka, geometria, arytmetyka, astronomia, muzyka. W XIII w., a szczególnie w XIV w., w szkołach katedralnych wykładano też prawo kanoniczne, ponieważ rosło w Polsce zapotrzebowanie na prawników.

Celem nauczania było przygotowanie uczniów do stanu duchownego,

dlatego też prócz kursu przygotowawczego (*septem artes liberales*) i kursu prawniczego utworzono kurs teologiczny. Szkoła katedralna w Gnieźnie miała dwa oddziały: trywialno-kwadrywialny (siedem sztuk wyzwolonych) oraz prawniczo-teologiczny. Józef Łukasiewicz podaje, że w szkole katedralnej w poł. XVIII w. mieściły się trzy oddziały, było też trzech profesorów: Józef Szczechowicz, profesor filozofii i retoryki, Maciej Luksiński, profesor poezji i arytmetyki, i Jan Siekierski, profesor gramatyki⁶.

Gdy w XV w. szkoła tumska stała się kolonią (filią) Akademii Krakowskiej, otrzymała dwóch znakomitych profesorów: teologii i prawa kanonicznego. Szkoła katedralna nie miała prawa nadawania stopni naukowych. Jakich używano podręczników? Na pewno czytano dzieła Arystotelesa, wykładano dzieła filozofii chrześcijańskiej, jak Boecjusza, Piotra Lombarda, Tomasza z Akwinu, posługiwano się dziełami Wergiliusza, Salustiusza, Horacego. Objąsniano *Biblię*, uczono katechizmu, liturgii, śpiewu kościelnego, kaligrafii.

Kapituła dysponowała pokaźną biblioteką, z której korzystali również nauczyciele szkoły katedralnej. Antoni Karbowiak mówi, że Mikołaj Kiczka (zmarł w 1429 r.), archidiakon gnieźnieński, wzbogacił księgozbiór katedralny o szereg rękopisów. Lektorowi (profesorowi) szkoły tumskiej ofiarował książkę, której treść poznał będąc uczniem⁷. W aktach kapitulnych z 1626 r. jest wzmianka, że biblioteka kapitulna dostarczała książek magistrowi szkoły katedralnej Gorzkowskiemu. Stosowano pamięciową metodę nauczania, uczniów zaniedbujących się w nauce karano różgą.

Zgodnie z treścią uchwał soborów laterańskich III i IV obowiązywała w szkołach katedralnych bezpłatna nauka. Nie wiemy nic o opłatach szkolnych, jedynie o prezentach, które otrzymywali rektorowie szkoły od zamożniejszych rodziców jako wyraz wdzięczności za opiekę nad synami.

Jakie koleje losu stały się udziałem gnieźnieńskiej szkoły katedralnej? Szkoła tumska aż do powstania w 1364 r. uniwersytetu krakowskiego przodowała w kraju. W końcu średniowiecza i z początkiem XV w. była zaliczana do najlepszych szkół krajowych. Poziom nauczania był szczególnie wysoki wówczas, gdy w pierwszej połowie XV w. Akademia Krakowska przysłała profesora teologii i profesora prawa kanonicznego. Gdy reformacja rozprzestrzeniła się zyskując licznych zwolenników, szkoła zaczęła upadać. Kiedy w 1602 r. powstało seminarium duchowne w Gnieźnie na Górze Lecha, szkoła katedralna pełniła rolę szkoły przygotowawczej. Jej absolwenci mieli prawo studiowania w seminarium. W 1613 r. szkołę zniszczył pożar. A. Warschauer, autor *Geschichte der Stadt Gnesen*, informuje, że pożar strawił nie tylko szkołę katedralną, ale i kościół św. Jerzego, jak i prawie wszystkie domy mieszkalne kanoników i wikariuszy. Spłonęła też łaźnia kapituły nad Jeleniem (Jelonkiem).

W 1614 r. kapituła część swych dochodów przeznaczyła na budowę nowej szkoły. Odbudował ją w 1617 r. scholastyk Warszawicki. W 1760 r. budynek szkolny znów został spalony.

Na podstawie aktu wydanego w 1815 r. przez kapitułę doktor Jasieniecki zostaje zwolniony z obowiązków rektora szkoły,rektorem ma być jeden z alumnów seminarium duchownego. I tak w 1819 r. rektorem, profesorem szkoły został Michał Laskowski, kleryk seminarium duchownego w Gnieźnie. Został delegowany przez kapitułę „*ad dirigendam et educandam juventutem in literis, pietate et bonis moribus*”. Jak z powyższych słów wynika, Laskowski miał uczyć jedynie czytania i pisania i wychowywać młodzież w duchu moralności katolickiej. Kapituła chodziło o to, by szkoła dostarczała ministrantów. Jak widzimy, szkoła katedralna spadła do rzędu szkół elementarnych. W pierwszej połowie XIX w. do szkoły tumskiej uczęszczało od 20 do 45 chłopców. Uczył tylko jeden nauczyciel, który był zarazem kantorem katedralnym. Szkoła tumska istniała do 1880 r., zamknięto ją z powodu braku funduszy.

Przypisy

- ¹ „Dyplomata”, 28 IV 1429, Gniezno.
- ² A. Brückner, *Sredniowieczna poezja łacińska w Polsce*.
- ³ „Dyplomata”, 9 V 1438, Gniezno.
- ⁴ J. Korytkowski, *Arcybiskupi gnieźnieńscy*, Poznań 1888.
- ⁵ J. Łukasiewicz, *Obraz historyczno-statystyczny Miasta Poznania w dawniejszych czasach*, Poznań 1898.
- ⁶ A. Karbowski, *Dzieje wychowania i szkół w Polsce*, Petersburg 1908.

HANNA MARKIEWICZOWA
Warszawa

DZIAŁALNOŚĆ WYCHOWAWCZO-OPIEKUŃCZA WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOŚCI W LATACH 1814—1914

Filantropijne czynności społeczeństw dały początek pedagogice opiekuńczej. Działalność opiekuńcza oparta na interwencjach finansowych czy zorganizowanej pomocy była traktowana jako moralny obowiązek człowieka. Działania dobroczynne podejmowały organizacje zarówno kościelne, jak i świeckie, aczkolwiek duchowieństwo dało w tej mierze impuls zainteresowaniom losami ubogich członków społeczeństwa.

W miarę rozwoju proletariatu w wielkich skupiskach miejskich działalność dobroczynna przybierała nowe, udoskonalone metody i formy pracy oraz poszerzała krąg zainteresowań charytatywnych, obejmując nimi nie tylko dzieci, ale też starców, ludzi kalekich, rozbitków życiowych.

Na przełomie XVIII i XIX w. powstały i rozwinęły się w Europie różne stowarzyszenia opiekuńcze, takie jak Towarzystwo Opieki nad Nieletnościami we Francji czy angielskie Charity Organization Society, jednoczące wysiłki kilku organizacji¹. Autorką pierwszej, uporządkowanej metody działalności opiekuńczej była Mary Richmond, która opracowała teoretyczne zasady pomocy, tzw. Case Work Study. Metoda ta uwzględniała nie tylko wsparcie materialne, ale także konieczność przeprowadzania szczegółowych badań środowiskowych, sytuacji rodzinnej każdego oczekującego pomocy, wreszcie wyjaśnienie przyczyn warunkujących tę pomoc. Zadaniem pracownika pomocy społecznej była nie tylko opieka, ale także pobudzenie u podopiecznego zaradności i aktywności w usuwaniu źródeł niedostatku. Po pierwszym okresie żywiołowej pomocy filantropijnej, zasadzającej się głównie na jałmużnach, metoda Mary Richmond wprowadziła do działalności opiekuńczej pierwiastek wychowawczy².

Dobroczynność w Polsce ma długie, bo sięgające XII i XIII w. tradycje. W tym bowiem okresie odnajdujemy zaczątki filantropijnej działalności publicznej. Początkowo instytucjami dobroczynnymi były szpitale, które pełniły rolę przytułków, gospód i domów schronienia. Społeczeństwo polskie interesowało się dobroczynnością, tworząc fun-

dacje na rzecz ubogich i czynnie zrzeszając się w bractwa, czyli stowarzyszenia społeczno-religijne, niosące pomoc biednym. Najstarsze polskie bractwo św. Łazarza założone zostało przez bpa Zbigniewa Oleśnickiego w 1448 r. Z biegiem czasu wykształciły się w Polsce różne formy opieki zarówno pod patronatem państwa, jak i osób czy zrzeszeń prywatnych. W 1591 r. Bractwo Miłosierdzia założyło szpital pod wezwaniem św. Łazarza w Warszawie, który był nie tylko schroniskiem, lecz także lazaretem przeznaczonym dla chorych. Bractwo Miłosierdzia było typową filantropijną instytucją społeczną³.

Wiek osiemnasty przyniósł prawne regulacje statusu instytucji dobroczynnych. Wysiłki państwa skierowane były na dążenie do stworzenia organu, który zajmowałby się nadzorem nad tego rodzaju organizacjami, kierował nimi, zakładał je i kontrolował. W 1780 r. sejm oddał władzę nad szpitalami komisjom *boni ordinis*, które od tej pory czuwały nad placówkami⁴.

Po trzecim rozbiore Polski władze pruskie uznały warszawskie instytucje dobroczynne za własność państwa. W 1799 r. powstało w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Ludzkości. Zarządzał nim Franciszek Ksawery Wasilewski, nadworny lekarz Stanisława Augusta Poniatowskiego. Hasłem towarzystwa było „głodnego nakarmić”, zaś celem — „dostarczenie ubogim codziennego posiłku w postaci zupy rumfordzkiej i sporego kęsa chleba”. Niestety w niedługim czasie towarzystwo zostało rozwiązane⁵.

W czasach Księstwa Warszawskiego nie było specjalnie powołanego urzędu zajmującego się problemami ubóstwa. Brak zainteresowania ze strony państwa tego rodzaju działalnością spowodował także załamywanie się niektórych prób filantropijnych. W tak niesprzyjającej sytuacji starano się sformułować definicję ubóstwa. „Ubogim jest ten, kto nie ma sposobu zaspokojenia niezbędnych swych potrzeb, ale musi szukać ratunku i pomocy w społeczeństwie. Nie jest więc ubogim ten, kto ledwo może się utrzymać z pracy własnych rąk. Cechą bowiem i znamieniem ubóstwa jest brak wszelkich sposobów utrzymania się”. Dobroczynność zaczęto rozumieć nie jako jałmużnę, ale jako zapewnienie i stworzenie warunków pracy ubogim.

Kampania napoleońska pustosząca kraj, wyniszczająca ziemie polskie, spowodowała zubożenie społeczeństwa, prowadzące do rozwoju na niespotykaną skalę żebractwa, zwłaszcza w dużych miastach. Sytuacja ta sprzyjała utworzeniu w 1817 r. Rady Głównej Dozorczej, zmienionej w 1832 r. w Radę Główną Opiekuńczą, czuwającą z ramienia państwa nad zakładami dobroczynnymi. Zwrot zainteresowań państwa w stronę problemu ubóstwa pociągnął za sobą rozwój działalności społecznej w tym zakresie.

Dwudziestego czwartego grudnia 1814 r. nastąpiło uroczyste otwarcie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Inicjatorami utworzenia

WTD byli: Zofia z Czetwertyńskich hr ordynatorowa Zamoyska, Julian Ursyn Niemcewicz, Stanisław Staszic, Adam ks. Czartoryski. Bezpośrednim zaś impulsem stał się wielki pożar miasta, w którego wyniku społeczeństwo zaczęło samorzutnie zbierać składki na pogorzalców⁴.

W 1825 r. car Aleksander I zatwierdził statut Towarzystwa, które z początkowo zajmowanych pomieszczeń księży franciszkanów przy ul. Zakroczymskiej przeniosło się do gmachu przy Krakowskim Przedmieściu. Członkiem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności mogła zostać osoba, opłacająca składki i wywiązująca się z obowiązków nań nałożonych. Artykuł pierwszy statutu ujmował cel WTD następująco: „kierować, ile być może najużyteczniej, ofiarami dobroczynności publicznej ku wsparciu rzeczywiście ubogich”⁵. W myśl tak ujętego celu ustanowiono w każdym cyrkule Warszawy biuro opiekuńcze, skupiające ludzi, których zadaniem było wyszukiwanie potrzebujących pomocy lub opieki. W pierwszym okresie działalności WTD składało się z czterech wydziałów: administracyjnego, zajmującego się funduszami i księgowością, egzaminacyjnego, skupiającego opiekunów cyrkulowych, lekarskiego i wsparć, zrzeszającego proboszczów parafii z obowiązkiem niesienia pomocy ubogim. Pierwszym prezesem wydziału administracyjnego był Julian Ursyn Niemcewicz (1758—1841).

Swoją działalność opiekuńczą rozpoczęło Towarzystwo od założenia domu dla ubogich, w którym w 1815 r. mieszkało 96 osób. Praca Towarzystwa w pierwszym okresie istnienia ograniczała się do pomocy pieniężnej, dostarczania opału, żywności oraz udzielania pożyczek osobom prowadzącym zakłady rzemieślnicze, a także pomocy lekarskiej.

Działalność WTD przypadła na burzliwe czasy w historii Polski. Kampania napoleońska, dwa powstania narodowe, rewolucja 1905 r., pierwsza wojna światowa, połączone z eksplozacyjną polityką zaborców, zacofaniem gospodarczym, brakiem zorganizowanego systemu oświaty, sprzyjały szerzeniu się ubóstwa, nędzy i głodu.

Już w pierwszej fazie istnienia Towarzystwa jednym z jego celów „było uwolnienie miasta od żebraków”. Wysiłki działaczy w początkach XIX stulecia koncentrowały się na zapewnieniu pomocy chorym, kalekom i niedołężnym oraz pracy tym, którzy byli zdolni ją podjąć. Zawarto umowę z Nadzorem Szpitali Wojskowych na produkcję bandaży. W taki sposób zapewniono pracę 238 rodzinom. W 1816 r. utworzono w Grzybowej Woli dom opieki dla ludzi niedołężnych, zgrzybiałych i ułomnych. W domu tym każdy pensjonariusz otrzymywał odzież, obuwie, miał własne łóżko z pościelą zmienianą raz w tygodniu⁶.

W drugim podobnym ośrodku warszawskim, tzw. domu miłosierdzia, zgromadzono ludzi ubogich, którzy w miarę swych sił wykonywali różne prace, jak pomoc w kuchni, reperacja bielizny, pilowanie drewna, zajęcia w salach roboczych. Po otrzymaniu od rządu zabudowań pofranciszkańskich utworzono tam dom zarobkowy, w którym zatrudniano

ludzi przy darciu pierza i wyrobie bandaży. Część osób zatrudniono w fabryce włókienniczej przy przędzeniu wełny i wyrobie pończoch. Wyżywienie wszystkich, wyłączywszy chorych, którym przepisano dietę, obejmowało: gorące śniadanie, dwudaniowy obiad i wieczercę. W niedziele, wtorki i czwartki każdy otrzymywał dodatkowo pół funta mięsa. Pracujący w pralni lub przy pilowaniu drewna dostawali porcję wódki, a pałacy — tytoń. Najpracowitsi otrzymywali też wynagrodzenie w wysokości trzech groszy dziennie. Chorzy odsyłani byli do izolatki, a w cięższych przypadkach do szpitali. Zarówno w Woli Grzybowskiej, jak i w domu warszawskim zapewniono pensjonariuszom posługę religijną. Wraz z wybuchem powstania listopadowego starców z Woli Grzybowskiej przeniesiono do Warszawy, likwidując placówkę pozawarszawską.

W latach czterdziestych XIX w. nastąpiło w Królestwie ożywienie gospodarcze. Warszawa stała się największym ośrodkiem wielkoprzemysłowym. Kapitalizacja gospodarki spowodowała wzrost burżuazji, ale jednocześnie i rosnącą liczbę biedoty miejskiej. W tym okresie osób utrzymujących się z prac dorywczych i nie pracujących było około 200 tys., co stanowiło około 15% mieszkańców miast. Wśród nich dużą grupę stanowiły kobiety.

Fakt ten był dla Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności bodźcem inspirującym działaczy do utworzenia w 1838 r. bardzo potrzebnego Wydziału Opieki nad Ubogimi Dziećmi, dzielącego się na sekcję opieki i sekcję sal ochron. Twórcami wydziału byli: Piotr hr Łubieński i Teofil Janikowski, a współpracownikami: Stanisław Jachowicz, pedagog, literat, dr Wilhelm Malcz, lekarz, oraz Teofil Nowosielski, pedagog¹⁰. Jemu też powierzono kierownictwo wydziału. Teofil Nowosielski urodził się w 1812 r. w Radomsku. Ukończył szkołę pijarską w Kaliszu, a następnie seminarium nauczycielskie w Brzegu. Od 1835 r. był w Warszawie, pracując w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Od 1838 r. był odpowiedzialny za działalność Wydziału Ochron WTD. Zarząd Towarzystwa wysłał Nowosielskiego na kilkumiesięczną praktykę zagraniczną (Berlin, Wrocław, Drezno, Wiedeń, Praga), aby zaznajomił się z tamtejszymi ośrodkami opieki nad dziećmi. Nowosielski, będąc w Dreźnie, słuchał wykładów Froebła, twórcy metody w owym czasie teorii wychowania przedszkolnego. Jednak największe wrażenie wywarło na nim zetknięcie się w Pradze z działalnością Jana Svobody, autora podręcznika wychowania przedszkolnego, założyciela wzorowej ochrony w Hradcu. Metoda wychowawcza Svobody zakładała przygotowanie dziecka przebywającego w ochronie do przyszłej nauki szkolnej i pracy. Temu celowi podporządkowane były metodyczne wskazówki podręcznika. Metodą wdrażającą dzieci w przyszłe obowiązki była zabawa ukierunkowana, podczas której doskonaliły swoje zmysły, a zwłaszcza uwagę. W myśl wskazówek Svobody większy nacisk na planową naukę mógł być położony dopiero po ukończeniu przez dziecko szóstego roku życia.

Nowosielski powrócił do Warszawy w 1839 r. i w sierpniu tego roku otworzyło WTD swoją pierwszą ochronę, w której znalazła opiekę setka dzieci. Obok pracy z dziećmi szczególny wysiłek koncentrował Teofil Nowosielski na teoretyczne i praktyczne przygotowanie kadr pedagogicznych dla potrzeb ochronek WTD. Pomoc w tym zakresie uzyskał od Stanisława Jachowicza i księdza Jakuba Falkowskiego, założyciela Instytutu Głuchoniemych. Przystąpiono do zorganizowania biblioteki dla wychowawców ochron. Rozpoczęto też praktyczne nauczanie wychowawców przez hospitację zajęć w ochronach. Wydział Sierot i Ochron WTD zastosował w swej praktyce zalecenia wychowawcze Jana Svobody. W tym celu Nowosielski przetłumaczył podręcznik założyciela ochrony w Hradcu i wydał go pod tytułem: *Praktyczny wykład prowadzenia dzieci małych w ochronie*.

Ochrony WTD miały odpowiadać określonym warunkom. Miały być jasne, oświetlone i duże. Warunkiem przyjęcia dziecka do ochrony, poza opinią opiekuna cyrkulowego, było świadectwo szczepienia ospy. W każdej ochronie pracowała jedna wychowawczyni i kilka kobiet do posług. Placówką kierowała przełożona. Dzieci przyprowadzone do ochronek miały być czyste, uczesane i schludne. Rodzice, którzy bez wyraźnego uzasadnienia nie przyprowadzili ponad tydzień swoich pociech, tracili miejsce w placówce. Stratą miejsca w ochronce groziło także wypożyczenie komu innemu identyfikacyjnego znaku dziecka. Chore dzieci leczone były na koszt WTD.

W ochronach prowadzono gimnastykę oraz gry i zabawy w sali i na powietrzu. Zajęcia prowadzone były według planu uprzednio opracowanego pod względem merytorycznym i metodycznym. Na przykład ćwiczenie nr 19 zalecało przerobienie z dziećmi następującego materiału: liczenie do ośmiu, części ciała kotki, łakomstwo i jego skutki, nauka obyczajowa, dusza, główne kości u człowieka, głoska A, rysowanie nagrobka, pogrzeb. A więc przebywanie w ochronce miało dać dzieciom poza opieką podstawowe wiadomości elementarne.

Ochronki utrzymywały się z własnych funduszków dostarczanych przez opiekunów danego zakładu. Oplata za pobyt dziecka wynosiła w początkowym okresie od 3 do 15 kopiejek. Wiele ubogich dzieci zwalniano od opłat.

Dzieci przebywały w ochronkach w lecie w godzinach 8—12 i 14—17, w zimie 9—12 i 14—16. Raz w roku Wydział Ochron powoływał komisję, która przeprowadzała wizytację placówek. Zalecenia komisji z różnych względów nie zawsze mogły być spełnione. Jak podaje Zofia Podgórska-Klawe, w 1896 r. z 33 ochron 5 miało tylko jedną salę, 21 — dwie sale, 6 — trzy sale, 1 — cztery sale; 18 ochron miało ogród lub plac zabaw, 23 ochrony mieściły się w wynajętych lokalach, a tylko 10 w przeznaczonych na ten cel budynkach. Posiłki w ciągu całego roku wydawano w 5 ochronach, a w 24 tylko w zimie. Posiłek składał się

z kubka bawarki, chleba i okraszonej kaszy. W 1844 r. działało w Warszawie 6 ochron usytuowanych w najbiedniejszych dzielnicach miasta i obejmujących swą opieką 450 dzieci¹⁴.

Po odejściu z zarządu ochron Teofila Nowosielskiego pracę w nich prowadzono według podręcznika austriackiego pedagoga Leopolda Chimaniego, którego metody zdecydowanie różniły się od stylu pracy zalecanego przez Jana Svobodę. Zredukowano znacznie czas przeznaczony na zabawy, wychowanie oparto na dyscyplinie. Odejście Nowosielskiego spowodowało widoczny regres w rozwoju ochron WTD.

Ożywienie gospodarcze Królestwa w początkach lat sześćdziesiątych XIX w. pociągało za sobą podjęcie pracy zarobkowej przez kobiety, co spowodowało ponowny rozwój ochron. Rozwojowi temu sprzyjały także zmiany administracyjne i personalne w Towarzystwie oraz pomoc materialna ze strony burżuazji.

W 1859 r. powstały Cyrkułowe Rady Opiekuńcze, w których różne funkcje sprawowała zamożna inteligencja i kapitaliści, między innymi rodziny Kronenbergów, Blochów czy Natansonów¹⁵. Rok ten był szczególnie pomyślny dla Wydziału Ochron. Zmiany spowodowały poszukiwania wykwalifikowanych ochronek, a ranga ochron WTD niepomieranie wzrosła. Interesujący był skład socjalny dzieci uczęszczających do ochron Towarzystwa, np. w 1862 r. było 1591 dzieci wyrobników, 1331 rzemieślników, 485 służących, 241 oficjalistów, 123 wojskowych, 119 handlarzy i tylko 68 dzieci osób żyjących na koszt opieki społecznej, w roku następnym zaś: 593 dzieci wyrobników, 1435 rzemieślników, 517 służących, 263 handlarzy, 183 oficjalistów, 157 wojskowych. Podane tu liczby nasuwają kilka wniosków. Świadczą między innymi o popularności ochronek WTD. Ponadto przekrój społeczno-zawodowy rodziców dzieci uczęszczających do ochron WTD wskazuje na częste podejmowanie pracy zawodowej przez kobiety.

Pomyślny rozwój ochronek trwał aż do 1870 r., kiedy to represje powstaniowe spowodowały regres tej formy opieki, pogłębiony likwidacją Rady Głównej Opiekuńczej i przekazaniem społecznych instytucji dobroczynnych pod nadzór Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Petersburgu. Decyzja ta odcięła ochronki WTD od sybysydów państwowych i od tej pory zdane one były wyłącznie na filantropię zamożniejszych warstw społecznych. Efekty pracy wychowawczej w ochronkach zostały uzależnione od dobrej woli i hojności społeczeństwa. W wyniku trudnej sytuacji materialnej nie tylko likwidowano dożywianie dzieci, ale także zakładano coraz mniej nowych placówek.

W ramach intensywnej polityki rusyfikacyjnej ukazało się w 1829 r. rozporządzenie generała-gubernatora zakazującego nauczania dzieci w ochronach. Spowodowało to duży odpływ dzieci z placówek opieki. Nie wolno było przebywać w ochronkach dzieciom powyżej 7 r. ż. Wszystkie instytucje dobroczynne prowadzące tego rodzaju działalność,

a wśród nich WTD, zostały poddane surowej kontroli i rewizjom. Mimo licznych represji władze Towarzystwa prowadziły nadal pracę w ochronach, szerząc tajną oświatę. W latach dziewięćdziesiątych Wydział Ochron miał kolejno dwóch znakomitych prezesów: Karola Jurkiewicza, byłego profesora Szkoły Głównej, oraz Emilianą Konopczyńskiego, pedagoga i działacza oświatowego.

Konflikty wewnętrzne Towarzystwa doprowadziły w 1898 r. do objęcia funkcji prezesa WTD przez Władysława Broniewskiego, byłego profesora Szkoły Głównej. Zmianie tej z uwagą przyglądały się władze rosyjskie, które w rok później reskryptem Naczelnika Kraju usunęły nowego prezesa i członków kierownictwa Wydziału Ochron z zajmowanych stanowisk, raz jeszcze podkreślając zakaz nauczania w ochronkach. Gdy kierownictwo WTD ponownie przeszło w ręce księcia Michała Radziwiłła, ochrony Towarzystwa zdecydowanie podupadły zarówno pod względem merytorycznym, jak i od strony materialnej.

Ochronki WTD spełniały poważną rolę w upowszechnieniu tej formy opieki nad dzieckiem. Działalność Towarzystwa miała na ziemiach polskich charakter prekursorski. WTD stało się promotorem różnych teorii wychowania przedszkolnego i patronem działań społecznych.

ROZWOJ OCHRONEK W LATACH 1840—1913
DANE ZEBRANE NA PODSTAWIE SPRAWOZDAŃ WTD

Rok	Ochrony	Dzieci	Rok	Ochrony	Dzieci	Rok	Ochrony	Dzieci
1840	2	160	1857	7	1764	1889	26	4198
1841	4	200	1858	7	343	1890	26	4670
1842	5	220	1859	8	434	1891	32	3010
1843	5	293	1862	14	3958	1893	32	5634
1844	6	222	1863	14	4233	1894	33	4500
1845	6	360	1864	14	4757	1896	33	4230
1846	7	436	1866	16	4822	1898	34	4850
1849	7	336	1867	16	4525	1899	35	5213
1850	7	326	1868	16	3805	1901	38	—
1853	7	904	1869	16	3519	1905—6	43	—
1854	7	1687	1870	16	964	1913	43	—
1856	7	1295	1888	26	2348			

Formą opieki nad dzieckiem prowadzoną również przez Towarzystwo były żłobki, czyli domy dla niemowląt. Pierwszy założono w 1858 r., a do 1860 r. powstały jeszcze dwa. Nie cieszyły się one jednak popularnością, toteż po kilku latach zarzucono tę formę opieki, powracając do niej w 1876 r., z inicjatywy Stanisławy Frejsler. Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej funkcjonowały zaledwie cztery żłobki skupiające 300 niemowląt¹⁰.

Do znaczącej działalności WTD należała także opieka nad dzieckiem

osieroconym. Początkowo miała ona charakter przypadkowy i ograniczała się do zorganizowania szkoły i utrzymywania niewielkiej liczby dzieci. Zakres nauki szkolnej obejmował: czytanie, pisanie, rachunki oraz zdobywanie zawodu lub nabycie umiejętności pracy. W połowie lat trzydziestych XIX stulecia nauczycielem w szkółce dla sierot został Stanisław Jachowicz, pod którego okiem placówka rozwijała się pomyslnie. W 1838 r. szkółka sierot przysposabiała dzieci do rzemiosła, a w programie nauczania znalazły się takie przedmioty, jak języki niemiecki i rosyjski, technologia, historia naturalna. Uczono także szewstwa i krawiectwa. Celującym uczniom przyznawano nagrody pieniężne. W 1842 r. WTD zorganizowała dwa domy sierot: przy Nowym Świecie dla chłopców i przy Krakowskim Przedmieściu dla dziewcząt. Generalną zasadą przy przyjmowaniu dzieci do placówek WTD było pełne sieroctwo i wiek od 3 do 9 lat, tylko w wyjątkowych przypadkach przyjmowano półsieroty. Chłopcy po ukończeniu 14 lat oddawani byli do terminu, dziewczęta zaś po osiągnięciu 16 lat — do służby. Dziewczęta przebywające w domu sierot uczono początkowo czytania i pisanie oraz robót ręcznych.

W sprawozdaniu za rok 1846 czytamy: „Z liczby oddanych do rzemiosła dwóch jest majstrami: Leopold Skotnicki — szewc, Józef Schabowski — stolarz, czterech jest w wojsku, dwóch w policji, dwóch w straży ogniowej, pięciu u felczerów, jeden u zegarmistrza, 15 pracuje u innych rzemieślników, 4 w drukarni, 95 w terminie i 5 w służbie prywatnej”¹⁴.

Troska działaczy o losy wychowanków przejawiała się nie tylko w zapewnieniu warunków bytowych w czasie nauki zawodu i w opiece nad nieletnimi sierotami. W 1879 r. utworzono Komitet Opieki nad Wychowaniami będącymi w terminie. Zadaniem tego Komitetu była kontrola warunków pracy lub nauki oraz uiszczanie opłat za naukę i udzielanie stypendiów.

Akcja pomocy sierotom przebrała w Towarzystwie dość duże rozmiary. Starano się nie tylko przygarnąć osierocone dzieci, ale dbano też o wyposażenie ich w takie umiejętności i taką wiedzę, która po osiągnięciu pełnoletności umożliwia im normalne funkcjonowanie w życiu zawodowym.

Oprócz domów sierot dla dziewcząt i chłopców WTD utworzyło wiele przytułków dla sierot obu płci, sytuując je w żłobkach i ochronach. W 1867 r. takich przytułków było już ponad sto. Po śmierci Stanisława Jachowicza w 1857 r. domem sierot dla chłopców kierował J. Popławski. W uznaniu zasług S. Jachowicza nadano domowi sierot dla chłopców jego imię. Pensjonariusze tego domu uczęszczali do szkoły jednoklasowej, a następnie uczyli się koszykarstwa, garncarstwa, krawiectwa i szewstwa. W domu podawano cztery posiłki dziennie, dbając o ich urozmaicenie. Uczono też pływania. Wychowankowie mieli zapewnioną

opiekę pediatryczną i stomatologiczną. W 1890 r. zakupiono folwark Drewnica i przeznaczono go na letnie wyjazdy wychowanków¹⁶.

W tym samym roku utworzono jeszcze jedną placówkę opiekuńczą pod nazwą „Patronat”, miała ona chłopcom przebywającym w terminie zapewnić opiekę i schronienie w dni świąteczne¹⁶. W 1896 r. z fundacji księcia Michała Radziwiłła otwarto przy ulicy Starej przytułek „Nazaret”, przeznaczony dla wszelkiego rodzaju włóczęgów bez względu na wiek i miejsce urodzenia¹⁷.

Dziewczęta przyjmowane były do domu sierot i przytułków na podobnych zasadach jak chłopcy. Początkowo opieka nad nimi należała do osób świeckich, następnie zaś do sióstr miłosierdzia. Pensjonariuszki uczyły się szycia i cerowania, a uzyskane tą drogą fundusze składały w depozycie, przeznaczając je na wyprawę dla opuszczających zakład. W 1900 r. uruchomiono dom sierot dla dziewcząt przy ulicy Rakowieckiej¹⁶ (gmach przetrwał do czasów współczesnych). W 1909 r. zakład przy ul. Rakowieckiej stał się właścicielem folwarku Kampin koło Brwinowa, który podobnie jak Drewnica przeznaczono na kolonie letnie dla dzieci. Sieroty w WTD otoczone były szczególnie troskliwą opieką. Świadczy o tym wysyłanie dzieci skrofalicznych na leczenie do Ciechocinka.

Oddzielną, chlubną kartę zapisał w dziejach WTD jego Wydział Lekarski. Po utworzeniu Towarzystwa lekarze zadeklarowali swą pracę i pomoc w służbie ubogim. Już w pierwszym roku działalności udzielono wielu porad, przeprowadzono wizyty domowe i hospitalizowano 442 osoby. Koszty leczenia i utrzymania pokryło Towarzystwo. Akcja pomocy medycznej spotkała się z szerokim odzewem aptekarzy, którzy podopiecznym towarzystwa udzielali zniżek przy zakupie leków. Opiekę i pomoc lekarską nieśli członkowie fakultetu lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego.

Oprócz opieki nad pensjonariuszami WTD lekarze udzielali porad biednej ludności Warszawy, ofiarnie pracując podczas klęsk żywiołowych i epidemii często nawiedzających stolicę. Początkowo WTD pokrywało koszty leczenia i leków, potem finansowało także rozdawnictwo okularów i pasów rypurowych. W 1896 r. udzielono bezinteresownej pomocy medycznej 52 tys. biednych mieszkańców miasta¹⁸.

W rok później z inicjatywy Wydziału Lekarskiego podjęto starania zmierzające do otwarcia ambulatorium dla biednych. Jednakże z braku odpowiedniego pomieszczenia projekt urzeczywistniono dopiero w 1902 r., zatrudniając w nowo otwartym ambulatorium lekarzy pediatrów. Jednym z wielu lekarzy działających w WTD była pierwsza kobieta—medyk Anna Tomaszewicz-Dobrska. Po karkołomnych zabiegach, uwieńczonych nostryfikacją dyplomu zdobytego na studiach w Szwajcarii, rozpoczęła w 1880 r. w Warszawie praktykę w zakresie pediatrii i ginekologii. W latach 1882—1911 kierowała przytułkiem dla dzieci, który w krótkim

czasie stał się wzorową placówką doskonalącą lekarzy, położne i pielęgniarki. Poza pracą zawodową pasją Anny Tomaszewicz-Dobrowskiej była działalność społeczna. Z zapalem uczestniczyła w pracach nad utworzeniem i rozwojem Towarzystwa Kolonii Letnich oraz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności²⁰.

Warunki higieniczne Warszawy na przełomie wieków zdecydowanie odbiegały od warunków innych miast europejskich. Budowę wodociągów zaprojektowanych przez inż. Wiliama Lindleya zakończono na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej. W 1919 r. sieć wodociągowa obejmowała 72% ulic Warszawy. Natomiast dopiero w 1937 r. 70% ludności stolicy korzystało z kanalizacji²¹. Warszawa jako miasto rozrastała się w tempie szybszym aniżeli infrastruktura sanitarna. Pod tym względem było to miasto zdecydowanie zaniedbane. Niski stan oświaty sanitarnej społeczeństwa stał się bodźcem do zorganizowania w ramach towarzystwa Wydziału Kąpeli Ludowych. Inicjatorem i długoletnim kierownikiem wydziału był prof. dr Ignacy Baranowski.

W 1898 r. wydział otworzył pierwsze zakłady kąpielowe: przy ul. Stawki kąpielisko „Janina” i na Pradze przy ul. Petersburskiej łaźienki im. Tytusa Chalubińskiego. Już w pierwszym roku działalności z obydwu zakładów skorzystało blisko 25 tys. osób, zaś w 1902 r. prawie 58 tys. mieszkańców. Szczególnym obiektem zainteresowania inicjatorów kąpeli były dzieci²². Wobec tej grupy korzystającej z łaźni chodziło bowiem nie tylko o zrealizowanie celów doraźnych, ale także o wyrobienie nawyków higienicznych. Dzieci z ochron, szwalni i sal zajęć WTD korzystały z usług zakładów bezpłatnie. Mimo to WTD napotykało trudności w rozwijaniu akcji kąpeli dziecięcych. Powodowały je dwa czynniki: ubóstwo wielu dzieci — braki w odzieży i ciepłej bieliznie, uniemożliwiało branie kąpeli w porze jesienno-zimowej, oraz brak chętnych do opieki nad dziećmi w czasie kąpeli. Dlatego Towarzystwo apelowało do społeczeństwa o szeroki udział kobiet w tej formie pomocy dzieciom. Jedną z zaangażowanych w pracę z ubogimi dziećmi była żona Bolesława Prusa, pani Oktawia Głowacka²³.

Od 1905 r. zarząd wydziału objął akcją kąpeli dzieci uczęszczające do szkół ludowych w Warszawie. W związku z tym przeprowadzono remont i rozbudowę zakładu przy ul. Stawki. W 1904 r. z kąpeli skorzystało blisko 63 tys. osób, w tym z górą 8 tys. dzieci.

W 1912 r. zarzucono organizowanie kąpeli dzieci ze szkół elementarnych, wskutek braku aprobaty inspekcji szkolnej, ograniczając się do własnych podopiecznych i uczniów szkół prywatnych. Warunki wojenne znacznie zmniejszyły zasięg działalności Wydziału Kąpeli Ludowych. Nawet 2 tys. rubli, udzielone wydziałowi przez Komitet Obywatelski, nie zapewniło zakupu wystarczających ilości mydła i opału. Pogarszająca się sytuacja finansowa zmusiła Zarząd WTD do przekazania łaźni władzom miasta. Kilkunastoletnia jednak działalność wydziału

spopularyzowała sprawę higieny osobistej wśród społeczeństwa Warszawy. Zamiłowanie do czystości wzrosło zwłaszcza wśród ludności robotniczej.

Pomoc udzielona przez Towarzystwo społeczeństwu Warszawy obejmowała nie tylko długofalowe akcje planowe. Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności pomagało mieszkańcom miasta także w chwilach szczególnego zagrożenia życia i bytu. Przykładem spontanicznej i błyskawicznie udzielonej pomocy może być działalność Komitetu Pomocy Powodzianom, utworzonego w 1838 r., kiedy to Warszawę nawiedziła wiosenna powódź. W 33 godziny od ukonstytuowania się Komitetu urządzono schronienie dla 800 powodzian, którym przez miesiąc wydawano posiłki i zapewniono nocleg. W ciągu tego miesiąca wydano blisko 18 tys. obiadów dla z górą 700 osób. Wyremontowano również 9 domów zniszczonych wskutek powodzi²¹.

W 1843 r. wprowadzono nową formę pomocy, tzw. obiady dla ubogich, z których dziennie korzystało około 60 osób. W dni mięsne obiad taki składał się z talerza rosołu, sztuki mięsa z chrzanem lub ćwikłą, jarzyn i chleba. W dni postne podawano zupę, jarzynę i chleb. W 1868 r. Towarzystwo założyło w Warszawie pierwsze tanie kuchnie jako formę pomocy dla ludzi, którzy w czasie kryzysu podupadli finansowo. Wydawano w nich obiady na miejscu i na wynos. Menu taniej kuchni było dość urozmaicone i zawierało: zupę, sztukę mięsa, pieczeń wieprzową, wołową, cielęcą i baranią, kotlety, zrazy, jarzynę, kluski, kasze, makaron oraz inne dodatki. Obfitość porcji spowodowała dzielenie obiadów i możliwość wyboru dania. Początkowo cena obiadu wynosiła 10 kopiejek. W 1884 r. z obiadów w tanich kuchniach skorzystało 195 tys. osób, natomiast w latach 1868—1884 w tanich kuchniach posillilo się około 3 mln osób. Jadłospis tanich kuchni drukowany był w dwóch warszawskich dziennikach: „Kurierze Porannym” i „Kurierze Warszawskim”. Prezesem Wydziału Kuchen był prezydent Warszawy Sokrates Starynkiewicz²².

W ciągu ponad stu lat nieprzerwanej działalności WTD prowadziło ponadto kilka rodzajów kas pożyczkowych dla ludności. Były to między innymi kasy: groszowe, za rewersami, pożyczkowe na słowo, pożyczkowe dla rzemieślników oraz kasy dla nauczycielek i bon.

Znaczna część działalności Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przypadła na ten okres w historii Polski, w którym naród pozabawiony był własnej państwowości. Ludzie, którzy wykreowali instytucję, wywodzili się z warstw posiadających, co w znacznym stopniu ułatwiało pracę Towarzystwa. Ich nazwiska i pochodzenie dawały na ogół władzom carskim rękojmię lojalności i dyspozycyjności, choć nie zawsze zapewniały subordynację wobec rozporządzeń zaborecy. Przykładem samodzielnej i niezawisłej postawy może być działalność Jana Tadeusza Lubomirskiego, inicjatora wielu przedsięwzięć oświatowych,

twórcy kas groszowych, Wydziału Czytelń Bezpłatnych, szkół dla rzemieślników, współtwórcy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. J. T. Lubomirski (1826—1908) w czasach działalności Aleksandra Wielopolskiego pełnił funkcję członka Rady Wychowania Publicznego. W latach 1863—1865 został zesłany przez władze carskie do Niżnego Nowogrodu. W 1869 r. powrócił do Warszawy i objął funkcję prezesa WTD¹⁶.

Założyciele WTD dysponowali środkami materialnymi, którymi szczerze wspomagali Towarzystwo. Ich wpływy owocowały niejednokrotnie nie tylko dotacjami finansowymi rządu, ale też łaskawym spojrzeniem władz na pracę Towarzystwa. Wkład tych ludzi w podnoszenie poziomu życia warstw niższych i stwarzanie godziwych warunków życia ubogim budzi uznanie i szacunek. Działalność WTD przyczyniła się do złagodzenia skutków nędzy, wszelkiego rodzaju nieszczęść i cierpien. Opieka nad ubogimi, a szczególnie nad dzieckiem biednym lub osierconym, często w okresie zrywów narodowych, dobrze świadczy o patriotycznej postawie działaczy WTD.

Przypisy

¹ R. Wroczyński, *Od filantropii do pedagogiki opiekuńczej*, „Studia Pedagogiczne”, t. 12, 1964.

² *Ibidem*.

³ Z. Grotowski, *Rozwój zakładów dobroczynnych w Warszawie*, Warszawa 1910, s. 43.

⁴ *Ibidem*, s. 74.

⁵ F. M. Sobieszczanski, *Warszawa, [w:] Wybór publikacji*, t. II, Warszawa 1967.

⁶ *Ibidem*, s. 161.

⁷ *Ustawy Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przez Najjaśniejszego Cezarza i Króla w dniu 15 06 1825 r. zatwierdzone*, Warszawa 1826.

⁸ „Rocznik Towarzystwa Dobroczynności od 1-go stycznia do 31 grudnia 1815 r.”, Warszawa 1816.

⁹ B. Sandler, *Ochronki dziecięce WTD*, „Rozprawy z Dziejów Oświaty”, t. 8, 1965.

¹⁰ *Ibidem*, s. 112.

¹¹ *Ibidem*, s. 119.

¹² *Ibidem*, s. 128.

¹³ Z. Podgórska-Klawe, *WTD i jego Wydział Sierot i Ubogich Dzieci*, [w:] *Studia Warszawskie, Warszawa XIX wieku, 1795—1918*, Warszawa 1970.

¹⁴ *Zdanie sprawy z działań WTD w roku 1846*, Warszawa 1847, s. 7.

¹⁵ Podgórska-Klawe, *WTD i jego Wydział...*, s. 174.

¹⁶ *Ibidem*, s. 175.

¹⁷ *Ibidem*, s. 176.

¹⁸ *Ibidem*, s. 177.

¹⁹ *Sprawozdanie WTD za rok 1886*, Warszawa 1887, s. 26.

²⁰ W. Lisowski, *Ludzie zasługi niepospolitej. Wybitni polscy lekarze XIII—XX w.*, Warszawa 1983, s. 315.

²¹ J. S. Bystron, *Warszawa*, Warszawa 1977, s. 312.

²² *Sprawozdanie Wydziału Kapieli Ludowych Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności za rok 1902*, Warszawa 1903.

²³ *Sprawozdanie Wydziału Kapieli Ludowych Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności za rok 1903*, Warszawa 1904.

²⁴ *Zdanie sprawy z działań WTD w roku 1838*, Warszawa 1839.

²⁵ *Tania Kuchnia w Warszawie*, Warszawa 1884.

²⁶ *Stanisława Michalskiego autobiografia i działalność oświatowa*, oprac. H. Radlińska i I. Lepalczyk, Wrocław 1967.

HANNA OLECHNOWICZ, ANNA OLSZAŃSKA
Warszawa

DWOREK CISOWY. EKSPERYMENTALNA SZKOŁA W POLSCE DWUDZIESTOLECIA MIĘDZYWOJENNEGO*

Pomysł stworzenia tej szkoły powstał przed pierwszą wojną światową, kiedy to Andrzej Małkowski, założyciel polskiego harcerstwa, poślubił Olę Drahonowską, twórczynię polskiego harcerstwa żeńskiego. Ich marzeniem było zorganizowanie „Republiki skautowskiej”, w której młode małżeństwa wraz z dziećmi własnymi i adoptowanymi tworzyłyby jedną dużą wspólnotę. Jej celem byłoby „uszczęśliwianie ludzi, zwierząt i roślin”. Życie w tej społeczności byłoby oparte na prawie harcerskim, a metody pracy harcerskiej byłyby stosowane także w nauczaniu. Ten eksperyment miał udowodnić, że „harcerstwo, to jest najpraktyczniejszy przepis na stworzenie idealnego współżycia w dużej gromadzie”. Andrzej jak i Olga kochali góry i tam chcieli usytuować swoją „republikę”. Marzenia tego nie mogli jednak zrealizować. Wybuchła wojna, musieli opuścić kraj, a w 1919 r. Andrzej Małkowski zginął w storpedowanym statku.

Olga Małkowska z synem (urodzonym w 1916 r.) przez kilka lat przebywała w Stanach Zjednoczonych, Francji, Szwajcarii i Anglii. Jako wykwalifikowana nauczycielka muzyki pracowała w kilku „nowych szkołach”, m.in. w Ecolle nouvelle Le Foyer w Chexbres Village w Szwajcarii. Zapoznała się też z innymi nowoczesnymi prądami pedagogicznymi, jak np. system Montessori.

Po powrocie do Polski w 1921 r. Olga Małkowska nadal utrzymywała kontakty ze skautkami angielskimi. Na jednym z obozów poznała Violetę Mason, z którą połączyła ją dożgonna przyjaźń. Violeta Mason nie tylko stała się wyznawczynią idei „uczynienia świata światem harcerskim, skautowym”, ale ofiarowała fundusze na zakupienie w małej wiosce Sromowce Wyżne kilku mórg gruntu, położonego na południowym stoku wzgórza ze wspaniałym widokiem na łańcuch Tatr. Rozumiejąc, że samotna kobieta, wdowa, nie może porwać się na organizowanie „republik rodziny”, Olga Małkowska zdecydowała się na stworzenie

* Tekst referatu wygłoszonego na 9 Sesji Międzynarodowej Konferencji Historii Wychowania, Pecs 1989; Sandor Komlósi, *Pamiętnik Zjazdu*, t. 3, nr. 233.

mniejszej społeczności — internatu ze szkołą. Ale jądro poprzedniego planu pozostało nie zmienione: skautowskie ideały służby ludziom i lojalności oraz przekonanie, że kształtowanie charakteru i sprawności fizycznej jest bez porównania ważniejszym celem wychowania niż osiągnięcia w nauce szkolnej.

Budowę szkoły podjęto niemal natychmiast — z dużą pomocą ze strony polskich harcerzek, które obok składek pieniężnych ofiarowały własną pracę przy budowie.

Szkołę otwarto w 1925 r. Początkowo wychowywało się w niej zaledwie trzech uczniów. Ale liczba ich szybko się zwiększała i gdy w 1931 r. zbudowano drugi dom, w Dworku Cisowym przebywało 50 dziewcząt i chłopców w wieku od 4 do 16 lat. Dzieci pochodziły z rodzin o bardzo różnym profilu socjo-kulturalnym. W większości były to rodziny średnio zamożnych ziemian i inteligencji miejskiej; wiele było dzieci z rodzin rozwiedzionych i dzieci samotnych matek. Obok zdrowych i silnych dzieci wychowywanych w wiejskich dworach były też wątłe i nieco opóźnione w rozwoju. Dzieci w większości były dobrze wychowane, ale zdarzały się wśród nich bardzo trudne. Kilka sierot wychowywało się w Dworku Cisowym bezpłatnie. Należy dodać, że dla wielu dzieci Dworkek stanowił środowisko terapeutyczne.

Do szkoły dworkowej uczęszczały w niektórych okresach również dziewczęta ze wsi. Inne 15 — 18-letnie ze Sromowców i pobliskich wiosek brały udział w kursach gospodarstwa domowego. Personel pedagogiczny Dworku Cisowego to młode kobiety, przeważnie poniżej 30 lat. Nauczyciele — mężczyźni pracowali tylko okresowo (stałe natomiast pracowali w dworkowym gospodarstwie ogrodnik i jego pomocnik, byli to przeważnie miejscowi górale). W zasadzie nauczycielki i wychowawczynie były harcerkami. Istotne jest, że większość z nich nie miała żadnych poprzednich doświadczeń wychowawczych, nie były więc obciążone rutyną i były otwarte na przyjęcie niekonwencjonalnych metod pracy wychowawczej. Zgodnie z zamiarem Olgi Małkowskiej Dworkek Cisowy był nie tylko szkołą dla dzieci, ale także placówką, w której młode harcerki po ukończeniu szkoły podstawowej lub średniej mogły pracować i wypróbować, jaki zawód najbardziej im odpowiada. Dlatego personel gospodarczy (zatrudniony w kuchni, pralni itp.) co pewien czas zmieniał rodzaj obowiązków. Kilka osób wysłano na odpowiednie kursy zawodowe — także za granicę (pielęgniarstwo, kuchnia, krawiectwo). Kilka nauczycielek skierowano na specjalizację za granicę, np. na kurs nowoczesnego wychowania w Bedeles i Peterfield i do szkoły prowadzonej metodą Decroly'ego. Corocznie w skład zespołu wchodziły jedna lub dwie skautki ze Szwajcarii, Anglii, Holandii lub Francji. Uczyły one języków obcych.

Olga Małkowska nie ceniła wysoko tradycyjnych metod nauczania. Żywiła przekonanie, że każde dziecko, nawet to pozornie mniej zdolne,

ma osobowość, która może się rozwinąć w pełni, jeżeli stworzy się po temu odpowiednie warunki. Sądziła, że zaspokajanie naturalnej ciekawości dzieci i rozbudzanie ich zainteresowań jest skuteczniejszą metodą kształcenia niż formalne nauczanie. Rozumiała jednak dobrze, że nie jest możliwe zrealizowanie takich postulatów w dużych instytucjach, i dlatego pragnęła, by jej mała szkoła stała się „laboratorium pedagogicznym”, w którym nauczycielki będą się też uczyć, a dzieci będą żyły pełnym i ciekawym życiem.

Tej wizji nie można było oczywiście w pełni urzeczywistnić, ale — zwłaszcza na początku — to, co się w szkole działo, wynikało naprawdę w znacznym stopniu z własnej inicjatywy dzieci.

Olga Małkowska zachęcała młode nauczycielki do samodzielnego eksperymentowania — przede wszystkim jednak wpajała im szacunek dla dziecka. Jedna ze współpracowniczek wspomina: „Dla nas, wychowanych jeszcze starymi metodami [...] i w zasadach, że »dzieci i ryby głosu nie mają«, rewelacją było ukazanie godności osobistej dziecka i jego człowieczeństwa równego człowieczeństwu kogoś dorosłego”.

Olga Małkowska uważała wychowanie i bogacenie się wewnętrzne pracowników za równie ważne, a może nawet ważniejsze niż pracę z dziećmi. Poświęcała więcej czasu na rozmowy z pracownikami niż na obcowanie z dziećmi. Dyskutowała z nimi na temat ich pracy, ich postaw wychowawczych, ich problemów osobistych. Zainteresowanie nimi znalazło wyraz w nadanym im żartobliwym przezwisku „Stare Pudła”, gdyż można w nich było znaleźć niespodziewane skarby — tak jak w pudłach leżących na starych strychach.

Olga Małkowska lubiła też co pewien czas zabrać kilka pracowników na wycieczkę w Tatry. Wówczas wobec konieczności przezwyciężania zmęczenia i przystosowywania się do skrajnie prymitywnych warunków życia mogła najlepiej ocenić ich charakter.

Zazwyczaj co tydzień odbywały się zebrania personelu, podczas których Olga Małkowska czytała fragmenty dzieł dawnych pisarzy i współczesnych filozofów — Platona, Carrela, Tagorego, Conrada, Jeansa. Nie były to więc formalne „szkolenia” — sporo było też wesołości i śmiechu. Najważniejsze było być może to, że w Dworku Cisowym udało się wytworzyć społeczność silnie zintegrowaną, związaną przez własny styl życia — często bardzo nietypowe obyczaje. Było to życie w warunkach bardzo prostych, wręcz spartańskich. Jedzenie było proste, wyłącznie jarskie. Posiłki spożywano przy długich stołach — na pierwszym miejscu przydywiała Olga Małkowska. Na śniadanie była zawsze mamalyga z cukrem, podawana na aluminiowych talerzach. Dorośli i dzieci spali na siennikach wypełnionych słomą i twardych drewnianych łózkach; latem i zimą okna były otwarte. W zimie często dzieci znajdowały śnieg na swoich kocach. Dzieci same sprzątały klasy i sypialnie, prześ-

cięły pościel, czyściły ciężkie, zazwyczaj bardzo zablocone buty. Same też nakrywały i podawały do stołu. Nauczyciele także brali udział w pracach domowych, sprząając korytarze i klatki schodowe. Dość często w niedzielę personel kuchenny był zastępowany przez nauczycieli, którzy gotowali — często z pomocą starszych dzieci. W ten sposób wpajano dzieciom szacunek dla pracy fizycznej. Niektóre dzieci nie potrafiły przystosować się do takiego stylu życia i po kilku tygodniach opuszczały szkołę. Jednak większość lubiła Dworek Cisowy.

Całe życie internatu było zorganizowane według zasad harcerskich. Podstawową grupą dzieci był zastęp. Przynależność do zastępu była ważniejsza niż przynależność do klasy szkolnej. Zastęp wspólnie brał udział w pracach codziennych i w zajęciach harcerskich. W niedzielę nauczyciele i dzieci wkładali harcerskie mundury; nauczyciele nosili wtedy pięknie haftowane, szafirowe serdaki, takie, jaki nosili na co dzień sromowieccy górale. Dzieci zwracały się do dorosłych w formie „druhno”, „druhu”.

Integracja społeczności była wzmacniana przez wiele obyczajów, „rytuałów” i ceremonii, wywodzących się z praktyki harcerskiej, kultury ludowej bądź tradycji patriotycznych. Modlitwę poranną odmawiano na dworze przed panoramą Tatr. Później w świetlicy jedno z dzieci grało na pianinie krótki utwór, a ktoś dorosły czytał fragment Ewangelii, po czym następowała dłuższa chwila ciszy. Wieczorem po tradycyjnym pacierzu każde z dzieci mogło odmówić prywatną modlitwę, potem śpiewano chórem harcerską pieśń wieczorną *Idzie noc...*

Wiele się też śpiewało przy kominku, przy ognisku czy odpoczywając podczas wycieczki. Olga Małkowska sama skomponowała kilka pieśni — do dziś śpiewanych. Święta państwowe, a zwłaszcza ważne rocznice historyczne, obchodzono bardzo uroczyście — często wspólnie z góralami ze Sromowców. Wiele też było okazji do tańców lub odgrywania sztuk teatralnych, często improwizowanych. Na Andrzejkę wróżono z wosku, Święty Mikołaj przynosił podarki, zaś w corocznych balach maskowych brali udział i dorośli, i dzieci.

Do poczucia odrębności Dworku Cisowego przyczyniały się też liczne, choć pozornie mało znaczące zwyczaje. Tak np. przez cały rok obowiązywał czas letni, nazywany „czasem dworkowym”, zamiast dzwonek dzieci zwoływało się gwizdkiem. Używało się wielu wyrażen zapożyczonych ze staropolszczyzny i z góralskiej gwary.

Szkoła miała własny wagon kolejowy — dar Prezydenta Rzeczypospolitej. Został on odpowiednio przystosowany. Wiosną lub jesienią odbywały się 2—4 tygodniowe wycieczki w różne rejony Polski. Te podróże wprowadzały nastrój przygody — podobnie jak często nie zapowiedziane jedno- lub dwudniowe wycieczki po Pieninach; sygnałem ich rozpoczęcia był alarmowy gwizdek.

Olga Małkowska lubiła sama prowadzić wycieczki. Posiadała rzadki dar przekazywania dzieciom piękna przyrody. Dzieci spędzały bardzo dużo czasu na powietrzu. Odbywały się często gry harcerskie. W zimie dzieci jeździły na łyżwach, nartach i sankach, w lecie kąpały się w Dunajcu. Codziennie odbywały się spacerunki na pobliskie wzgórza. Wszystko to sprzyjało rozwojowi fizycznemu i wyrobieniu fizycznej wytrzymałości, do czego tak wielką wagę przywiązywała twórczyni szkoły. W tych warunkach u wielu dzieci wątłych nastąpiła wręcz zdumiewająca poprawa stanu zdrowia, a ogólna atmosfera szkoły sprzyjała także przystosowaniu się dzieci trudnych wychowawczo.

Pomimo ograniczeń nieuchronnych w każdym internacie dzieci miały poczucie swobody i rzeczywiście miały więcej swobody, niż wydaje się to możliwe w tego rodzaju instytucjach; ponadto miały więcej kontaktu z przyrodą i ze środowiskiem sąsiedzkim niż uczniowie innych ówczesnych internatów. To wszystko złożyło się na wytworzenie niepowtarzalnej atmosfery przyjaźni, współdziałania bez rywalizacji (nie było np. instytucji pierwszego ucznia). Było to życie bogate i dające dużo radości, odpowiadające potrzebom dzieci do 13—14 lat (tylko kilkoro dzieci było nieco starszych, 15—16-letnich). Zaspokajało ono potrzeby dzieci, które nie dojrzały jeszcze do zainteresowania się problemami politycznymi, społecznymi i zawodowymi.

Dworek Cisowy był szkołą prywatną, wobec czego uczniowie musieli co roku zdawać egzamin ze wszystkich przedmiotów w szkole państwowej, lecz ten właśnie status szkoły umożliwiał eksperymentowanie i wprowadzanie niekonwencjonalnych metod nauczania. Klasy były bardzo nieliczne (przeważnie 4—7 uczniów), co pozwalało na intensywną naukę bez straty czasu i bez nudy, która zwykle towarzyszy powolnemu przyswajaniu materiału w normalnej szkole. Dla dzieci powyżej 12 roku życia wprowadzano plan daltoński, tj. zadawanie pracy na cały miesiąc, dzięki czemu uczniowie zdobywali nawyk samodzielnego, odpowiedzialnego organizowania sobie pracy bez doraźnych nacisków z zewnątrz. Zmiana szkoły stanowiła dla wychowanków Dworku ostre przejście do środowiska bardziej sformalizowanego i rywalizującego. Dzięki nawykom samodzielnego w większości przypadków osiągnęli oni w nowych szkołach wyniki dobre lub bardzo dobre.

Olga Małkowska utrzymywała ściśle kontakty z międzynarodowym ruchem skautowskim. W Sromowcach odbywały się międzynarodowe obozy, np. w 1928 r. z udziałem skautek z Anglii, Szkocji, Holandii, Stanów Zjednoczonych, Francji. W 1930 r. Olga Małkowska gościła w Dworku Cisowym Kongres Międzynarodowej Organizacji Pacyfistycznej, International Fellowship at Reconciliation, w którym udział wzięli uczeni z 15 krajów. Prawie co roku liczni goście z zagranicy odwiedzali szkołę, a w lecie liczne obozy polskich harcererek rozbiły namioty w najbliższej okolicy. W latach 1922—1934 Olga Małkowska regularnie

uczestniczyła w światowych konferencjach skautek, a w 1932 r. była reprezentantką światowego skautingu w Komitecie Ligi Narodów, zajmującym się sprawami dzieci i ochroną ich praw.

Ale nie mniej ściśle kontakty były utrzymywane z sąsiednimi wioskami. Uczono kobiety nowoczesnych sposobów prowadzenia gospodarstwa i zasad higieny. Pielęgniarki leczyły cięższe choroby. Jedną z pracownic Dworku organizowała życie kulturalne dla młodzieży wiejskiej. Zbudowano dom ludowy, w którym często odbywały się wspólne dla szkoły i wsi uroczystości i zabawy taneczne. Ludzie ze wsi znali każde z dzieci i opowiadali im baśnie i legendy, zwłaszcza podczas spływu Dunajcem. Podczas wielkiej powodzi w 1934 r. pracownicy Dworku Cisowego pomagali zaopatrywać wieś w żywność i leki, a także zaopiekowali się dziećmi zagubionymi lub osieroconymi (Dworek stał na wzgórzu i nie był dotknięty powodzią).

Dworek Cisowy był niewątpliwie eksperymentem niepowtarzalnym i nie może służyć jako model do dosłownego naśladowania. Jednak wobec tak ostro rysującego się kryzysu tradycyjnych systemów szkolnych eksperyment ten może być dziś właśnie inspirujący. Intensywnie bowiem bogate życie wewnątrz silnie zintegrowanej niewielkiej wspólnoty łączyło się w ścisłej symbiozie z najbliższym wiejskim sąsiedztwem, a zarazem z życiem całego kraju i międzynarodowym ruchem skautowym.

WŁADYSŁAWA MIELCZARSKA

DŁUGIE ŻYCIE

Moje pochodzenie społeczne jest skromne. Ojciec pracował jako mistrz ślusarstwa precyzyjnego. Przez całe życie odczuwał głód wiedzy. Dzięki prawemu charakterowi, silnej woli, sumienności w pracy z latami osiągnął stanowisko kierownicze w znanej fabryce Pfeifferów w Warszawie, a po rewolucji 1905 r. w Albertynie (powiat słonimski), majątku hrabiów Pusłowskich, gdzie spędzałam najpiękniejsze lata, ferie letnie i świąteczne, będąc uczennicą najlepszej w Warszawie pensji żeńskiej pani Leonii Rudzkiej.

Urodziłam się w Warszawie 25 czerwca 1896 r. jako jedenaste, przedostatnie dziecko Stefanii z Fesperów i Józefa Mielczarskich, dwunastym była do dziś żyjąca ze mną siostra, Maria de Mezer, która opiekuje się mną niedołązną, po złamaniu nogi, w ostatnich latach mego życia.

Rodzice tworzyli bardzo dobrane małżeństwo, oparte nie tylko na wzajemnej miłości, ale i głębokim szacunku. Gdy zakładali rodzinę, stanowili parę skromnie wyposażoną materialnie. Oboje po kądzieli pochodzili z rodzin lepiej sytuowanych, stojących wyżej społecznie; podobno dziadek ojca zasiadał w senatorskim krześle. O tych antenatach nie mówiło się prawie w domu, rodzice słowem i przykładem uczyli nas skromności, zachęcali do stałych wysiłków. Ponieważ ich rodzice, na skutek zmian politycznych i rodzinnych, w dzieciństwie zostali pozbawieni majątku, oboje mieli trudny start życiowy. Postanowili jednak zapewnić lepsze warunki bytu powiększającej się rodzinie, co nie było łatwe. Ciężar wychowania dzieci przejęła na siebie przede wszystkim matka, której pomagały starsze córki. Już od chwili narodzenia dwóch najmłodszych sióstr czuły się w obowiązku jako chrzestne matki najmłodszych dzielić trudy wychowania. Rodzice uznawali ich autorytet. Matka często, gdy o coś prosiłam, odsyłała mnie do chrzestnej matki ze słowami: „Idź, zapytaj Peluni, czy ci pozwoli”. Wzrastałyśmy w szacunku należnym starszym siostrom, całowałyśmy je w rękę jak ojca i matkę przy różnych okolicznościach, wyrażając podziękę, prośbę lub wdzięczność. Aż do ich śmierci łączyła nas silna więź rodzinna z seniorkami domu, które z kolei zasługiwały na wyróżnienie.

Życie w rodzinie kształtowały dwie postawy — religijna i patriotyczna. Oboje rodzice byli praktykującymi katolikami, w niedzielnej mszy św. uczestniczyli wszyscy, choć o różnej porze. Matka wstawiała rano i szła na mszę św. najpierwsza, dzieci chodziły zawsze z ojcem, a gdy on nie mógł nam towarzyszyć, zastępowały go nasze starsze siostry. Wieczorny pacierz odmawialiśmy z matką przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym dzień i noc paliła się lampka oliwna. Nie wiem, skąd matka czerpała wiedzę liturgiczną, ale pamiętam, że w okresie roku kościelnego odmawialiśmy odpowiednie modlitwy, one poprzedzały uroczystości rodzinne — Wigilię, dzielenie się opłatkiem lub jajkiem w Wielką Niedzielę. Nawiedzałyśmy kościoły, znane warszawskie „Groby”, oglądaliśmy jasełka, a szczególnym świętem rodzinnym był udział w procesji Bożego Ciała, w której zawsze, ku naszej radości, towarzyszył nam ojciec.

Pierwsze wiadomości z *Nowego Testamentu* podawała mi matka przy okazji oglądania oraz nawiedzania pięknych warszawskich kościołów, uczyła mnie prawd życiowych, wiedziałam, kto mnie stworzył i do jakich wyznaczył zadań. Pamiętam proste wskazania matki, które wytyczyły moją drogę życiową: „Chcesz długo żyć, szanuj starszych, co robisz, rób dobrze, szanuj chleb jako dar Boży”. Drobne przewinienia dziecięce, jak łakomstwo, skłonność do próżności, zazdrości, niestaranność w pracy, samochwalstwo, nazywała po imieniu. W wierszykach, piosenkach uczyła nas kochać Boga, ludzi, przyrodę i zwierzęta. Zabiegała rozumnie o nasze zdrowie, umiała nas zdrowo wychowywać, zawsze pierwsza sygnalizowała objawy dziecięcych schorzeń i szukała pomocy w wiedzy lekarskiej.

Zwyczaj wspólnych posiłków miał charakter niemal sakralny, przed zajęciem miejsca przy stole odmawiało się modlitwę, wolno było mówić, gdy nas pytano. W obiadach uczestniczyła ukochana matka mego ojca, którą sam przyprowadzał do stołu, a najmłodsza siostra przynosiła jej miękkie stołeczki pod nogi.

Matka miała niezwykle pogodne usposobienie, śpiewała bardzo muzykalnie, miała dobry słuch. Oboje rodzice należeli do chóru kościelnego, który ich związał małżeństwem. Budząc się rano, słyszałam terkot maszyny do szycia i śpiew matki, ulubione godzinki, kolędy, pieśni wielkopostne, patriotyczne, najczęściej związane z ruchem wyzwoleniczym powstania 1863 roku, którego epizody znałyśmy ze wspomnień ojca.

Ojca cechowała niezwykle silna wola. Jako samouk zdobył zawód i stale się dokształcał — studium dla dorosłych było jeszcze w sferze marzeń. Dzięki własnemu wysiłkowi doszedł do stanowiska kierowniczego najpierw w Warszawie, a potem w powiecie słonimskim, w Albertynie, majątku hrabiów Pusłowskich, którzy kontynuowali tradycję Ogińskich, Lubeckich i sami — podobnie jak ich krewniacy Skirmun-

towie — podnosili poziom życia mieszkańców wsi rozwijając przemysł żelazny, drzewny, tkacki.

Albertyn miał sporą grupę inteligentów zawodowych młodszego pokolenia, którzy jako słuchacze Politechniki Lwowskiej, a nawet Wiedeńskiej, w czasie pobytu mojego ojca w Albertynie odbywali pod jego kierunkiem praktykę letnią, a my korzystałyśmy z ich towarzystwa organizując imprezy sportowe i występy teatru amatorskiego. Pamiętam, że wśród praktykantów znaleźli się bracia Litwinowicze, późniejsi bliscy współpracownicy Piłsudskiego. Ojciec mój już w tych latach chorował na gruźlicę płuc i tylko dzięki opiece dru Bieleckiego ze Słonima oraz troskliwej stałej pielęgnacji matki żył i pracował — na gruźlicę nie było wówczas lekarstwa. Właśnie z tych lat zapamiętałam na całe życie świadectwo jego wielkiej wewnętrznej dyscypliny. Żegnając ojca na dobranoc zauważyłam na termometrze temperaturę 38,4°C, co nie przeszkadzało ojcu być rano na stanowisku w fabryce. Zrozumiałam cenę naszego wykształcenia na najlepszej pensji Leonii Rudzkiej w Warszawie, gdy tymczasem dzieci albertyńskiej inteligencji korzystały z nauki w rządowych szkołach Słonima.

Godne pamięci jest społeczne zainteresowanie i zaangażowanie ojca¹. Jeszcze w Warszawie współpracował z księdzem Blizińskim, znanym działaczem ruchu na rzecz moralnego dźwignięcia klasy robotniczej, przy prowadzeniu rekolekcji, organizowaniu rzadkich bardzo wówczas wycieczek i pielgrzymek do Częstochowy czy Kalisza, w organizacji samopomocy, podniesienia morale. Ojciec należał do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych (wygrany w konkursie Zachęty obraz do dziś zdobi pokój mojej siostry), należał do „Macierzy”, był zelatorem budowy Politechniki Warszawskiej, interesował się kulturą.

Dom nasz był rozśpiewany i czytany. Matka dbała o prenumeratę pism dla nas, dzieci — pamiętam pierwszy numer „Mojego Pisemka” (z tytułową stronicą opatrzoną rysunkiem latarnika morskiego i zachętą do uwagi „Szukajcie latarnika”), „Wieczory Rodzinne”, „Dzień dobrej Helenki” z dodatkami w postaci „czerwonych książeczek”, poświęconych historii Polski, historii starożytnej z dziejów Cesarstwa Rzymskiego, oraz obyczajowe książeczki Marii Buyno-Arcowej i Tańskiej, której *Drugą matkę* umiałam prawie na pamięć. Dla starszego rodzeństwa rodzice prenumerowali „Tygodnik Ilustrowany”, „Biesiadę Literacką”, „Dobrą Gospodynię”, obok pism codziennych, w których drukowano Trylogię. Klasyka lat osiemdziesiątych była pasjonującą lekturą. Pamiętam dobrze wieczory albertyńskie podczas ferii zimowych, jak rodzeństwo zebrane po podwieczorku wokół stołu jadalnego, z pochylonymi głowami, z wypiekami na twarzach (ja byłam zawsze lektorką) słuchało Trylogii, *Quo Vadis*, *Faraona*, *Placówki*, *Nad Niemnem*, *Dewajtis*. Lektura nas pasjonowała. Najpiękniejsze rozdziały powtarzałyśmy niekiedy z pamięci. Zachwyt i niepokój wkradał się do serc,

pobudzał wyobraźnię przy odczytywaniu losów Heleny, jej ucieczki z Rozłogów, przekradania się Longina pod Zbarażem; śmierć Danusa; czy Lidki z *Rodziny Polanieckich* oplakiwałyśmy szczerze. Na spotkanie z bohaterami książek czekałyśmy jak na spotkanie z przyjaciółmi. Rozmowy na ich tematy przedłużały się do późna, prześcigałyśmy się w odgadywaniu losów ulubionych bohaterów.

Wspomnienia wieczorów rodzinnych w domu, w ciepłej i zelektryfikowanej jadalni (Albertyn był cały tak oświetlony) zachowały swą świeżość na całe życie. Choć przybywały nowe arcydzieła, zawsze wracało się najchętniej do stron związanych z najszczerzym zachwytem, ciszą, bezpieczeństwem, intymnością nastroju domowego, pamięcią najdroższych twarzy i miłością rodzinną, których to wartości przeżyte lata nie odebrały! Piękno okolic Albertyna przechowałam na zawsze w pamięci. Bogate wysokopienne lasy — podstawa dobrze rozwiniętego przemysłu drzewnego — zdobiły wzgórze pojezierza, a obfitość wód i jezior stanowiła natchnienie dla romantyków tworzących o miedź: Issę utrwaliła pamięć współczesnego Miłosza. Słynne były zmodernizowane fabryki tkackie Skirmuntów. Obfitość wód pozwoliła na elektryfikację Albertyna — nie tylko fabryk, ale i domów mieszkalnych administracji. Kwitło rybołówstwo, zorganizowano eksport runa leśnego — grzybów, jagód i ziół — bujność soczystych łąk stanowiła podstawę dobrze prowadzonego mleczarstwa. Urok i czar wspomnianych miejsc utrwaliły liczne fotografie, niestety, nie przetrwały ostatniej wojny, zachowały się jednak w pamięci i sercach ocalałych z pożogi dawnych mieszkańców. Pozwalałam sobie na ich odtworzenie z pamięci, na ukazanie tej przeszłości, o jakiej dziś już mało się wspomina.

Nie tylko domowi, ale i szkole średniej zawdzięczam swe wychowanie, wybór zawodu, dlatego przejdę do historii szkoły, która przetrwała w pamięci. Siedmioklasowa szkoła pani Leonii Rudzkiej² istniała pod nazwą pensji od 1886 r. i była w chwili powstania twierdzą polskości. Uczyłam się w niej od 1905 r. i ukończyłam jako ostatnia „z dynastii”, jak powiedział profesor Jan Kucharzewski, który uczył pięć moich siostr. Leonia Rudzka, zakładając pensję, podjęła walkę, wierząc w posłannictwo Polski w boskim planie historii. W miarę upływu lat włączała do programu dydaktycznego zasady pozytywizmu: oszczędność, szacunek i zamilowanie do pracy, bo one hartują młode dusze w przezwyciężaniu własnej słabości.

Od początku istnienia uczono na pensji języka ojczystego, historii (mimo zakazu kuratora Okręgu Warszawskiego Apuchtina i słynnych z rusyfikacji wizytatorów Kryłowa i Władimirowa). Leonia Rudzka nie tylko przeciwstawiała się nakazom i zakazom, ale krok za krokiem rozwijała swą pensję, dążyła do otwierania dalszych klas.

Za obciążające ją dowody polskości (szkoła nie stawiała się na powitanie cara Mikołaja) wezwano przełożoną do „ochrony” za nieprawo-

myślność. Gdy kurs antypolski zelżał po przegranej przez Rosję w wojnie z Japonią, przelożona uzyskała pozwolenie na otwarcie klasy siódmej z polskim językiem nauczania, z wyjątkiem historii Rosji i historii powszechnej, oraz na otwarcie Kursów Pedagogicznych dla Kobiet na poziomie uniwersyteckim.

Nasza przelożona miała wrodzony talent przewodniczki, prowadziła życie surowe, niemal zakonne; nie założyła własnej rodziny. Jej rodziną była szkoła, w nią włożyła wszystkie swe myśli i swe dobre kobiece serce. Stałe zespolenie z pracą nadały niewątpliwie jej rysom tak charakterystyczny wyraz wewnętrznej dostojności. Z niezmaconą pogodą oblicza kontrastowały oczy ukryte w głębokich oczodołach. Znałyśmy i ceniliśmy to spojrzenie. Nie dostrzegaliśmy nigdy jej zdenerwowania, do którego często miała powody. Tylko wyjątkowa dobroć i wysoka kultura mogą zdobyć się na takie postępowanie z ludźmi. Dobroć jej miała źródło w chrześcijańskim widzeniu świata; na co dzień prowadziła życie pełne trudu, ofiar i odwagi, manifestującej się tam, gdzie trzeba było reagować na zło, nieuczciwość, krzywdę wobec innych. Nie negowała segregacji z tytułu pochodzenia ani wyznania. „Chcę was wychować na dobre chrześcijanki”, mówiła. Uczyla nas żyć w rodzinie ludzkiej, dla niej Polska to była „nie tylko wielka rzecz”, dla niej Polska „to serce właśnie”. Jako społeczniczka rozwijała w nas zamiłowanie pracy dla innych. Dewizą jej życia było: „Ojczyzny nie otrzymuje się darmo, Ojczyznę zdobywa się pracą”, dlatego i nasza praca miała być wykonywana jak można najlepiej.

Na zakończenie moich osobistych wspomnień przytoczę opinię profesora Jana Kucharzewskiego na uroczystej akademii w dniu imienin przelożonej w sali warszawskiego ratusza, 30 marca 1930: „Leonia Rudzka posiadała w wysokim stopniu [...] tę cechę, którą Francuzi nazywają *prestige* — skojarzenie autorytetu i uroku”³. Dostojność naszej przelożonej oddziaływała na nas wychowawczo, w jej objawach widzieliśmy harmonijne zespolenie z wewnętrzną dostojnością. Realizację przygotowania nas do życia i pracy wyrażała zarówno w doborze nauczycielstwa, wyposażeniu szkoły w możliwie najlepsze pomoce naukowe, w śledzeniu postępowej myśli pedagogicznej, by przenieść jej wzorce na własny grunt po uzgodnieniu z tradycją rodzimą.

Gdy chodzi o naszych pedagogów, byli to luminarze „stulecia myśli polskiej”. Miałam to szczęście, że uczyli mnie: Bronisław Chlebowski, Władysław Smoleński, Jan Kucharzewski, Mieczysław Brzeziński, Zenon Przesmycki, Paweł Sosnowski, Piotr Maszyński, Lucjan Szperl. Na kursach wykładali: Ignacy Matuszewski, Marian Massonius, Lucjan Zarzecki, Stanisław Szober, Mieczysław Frenkiel, Aniela Szcówna. Szkoła dbała szczególnie o poprawność języka, najcenniejszej spuścizny narodowej, nie tolerowano uczniowskiego żargonu, uczono nas mówić

nie tylko poprawnie, ale i pięknie, dykcji uczył Józef Kotarbiński, inscenizację uroczystości narodowych reżyserowała Popiel-Święcka⁴.

Z latami czuję wzrastającą wdzięczność dla rodziców za umożliwienie nam, córkom, nauki i wychowania na pensji Leonii Rudzkiej, którą to szkołę ukończyłam z rozszerzoną znajomością obu języków nowożytnych w codziennej konwersacji. Patent ukończenia 7-klasowej pensji otrzymałam w czerwcu 1913 roku.

Po wakacjach zaczęłam naukę na Pedagogicznych Kursach dla Kobiet, na Wydziale Przyrodniczym; ukończenie tej placówki przerwała wojna, niosąc przewrót na świecie i w Europie.

Szkole, obok rodzinnego domu, zawdzięczam nie tylko dobre zaplecze naukowe, ale zamilowanie i zapał do nauki. Atmosfery ówczesnych szkół nie ułatwiały środków masowego przekazu, mimo to głodne byłyśmy wiedzy, uczyłyśmy się „na wyścigi”, oczekiwaliśmy z niecierpliwością młodości wykładów o świecie, ludziach, ich życiu, wygłaszanych w Muzeum Etnograficznym, gdzie niekiedy słyszało się o bogactwach Śląska, pięknie Jury z Ojcowem, wszystko to ilustrowane barwnymi przezroczami pana Pawła Sosnowskiego, mego najulubieńszego nauczyciela. Wyżywałyśmy się w przedstawieniach amatorskich, wyreżyserowanych przez nasze nauczycielki języka polskiego, panią Zofię Barańską, Stefanię Skrobońską, a gdy treść wymagała szczególnego opracowania — i przez panią Popiel-Święcką.

Prawdziwą uczlą duchową był dla nas teatr z doskonałymi wykonawcami, którzy czarem słów brali w posiadanie nasze serca i umysły. Zachwycał nas Frenkiel, Kamiński, Leszczyński i oczywiście wschodząca sława sceny — Osterwa w *Orlątku*. Przez miesiące, otaczał go korowód dziewczęcych serc.

Niemalą rolę w moim życiu odegrał klasowy zespół koleżanek, zdolnych, szczerych w przyjaźni, ceniących honor klasy i szkoły. W czasie wizytacji zawsze były gotowe brać odpowiedzialność za polską szkołę. Dwie najzdolniejsze o nieprzeciętnych uzdolnieniach literackich — Ela Jaworowska i Janka Godlewska zginęły w obronie najwyższych wartości w czasie okupacji (niewątpliwie były jeszcze i inne ofiary, wymieniam tylko te, które dobrze znam). Nasz zespół klasowy miał dobre wyniki w nauce, połowa koleżanek osiągnęła średnią oceną cztery i pół, upoważniającą do nagrody z autografami przełożonej i pedagogów. Książki, dobierane zaleźnie od uzdolnień i zamilowań, z napisem „nagrada”, były przedmiotem naszej radości i wdzięczności pokazywałyśmy je rodzicom w końcu roku szkolnego.

Z grona nauczycielskiego tym, któremu zawdzięczam wybór zawodu i specjalności, był Paweł Sosnowski, nauczyciel konspiracyjnie wykładanej geografii Polski. Brak książek, map i atlasów szkolnych zastępowało jego żywe, barwne słowo, znakomita metodyka nauczania, wzór

i przykład do naśladowania. Nie zabraniano nam kontaktów osobistych z nauczycielami; przełamywałyśmy nieśmiałość, żeby okazać swą wdzięczność, dlatego wspominam kilka takich spotkań. Jako uczennica szóstej klasy z zachwytem słuchałam wykładu profesora o Tatrach. Na kolejnej lekcji, wezwana do odpowiedzi, miałam odpowiedzieć na pytanie: „Czy Tatry są piękne?” Potwierdziłam, a wówczas usłyszałam: „Proszę o nich ładnie opowiedzieć”. Przytoczyłam opisy Tatr znane mi z literatury pięknej. Drugie spotkanie interesowało mnie z powodów subiektywnych, chciałam wiedzieć, na jaką ocenę zasłużyły wyniki moich starań, dlatego zapytałam: „Czy mogę się poprawić?” „Ja żadnej winy w pani nie znajduję”, brzmiała odpowiedź.

Kiedy po ukończeniu siódmej klasy żegnałam grono pedagogów w imieniu klasy, pan Sosnowski, podając mi rękę, zrobił uwagę: „Chce pani wysoko latać, ale to dobrze, z góry lepiej widzieć”.

Kiedy pan Sosnowski został dyrektorem Państwowego Instytutu Pedagogicznego (dokąd mnie przyjęto w odrodzonej Polsce mimo wieku), złożył życzenia dyrektorowi z racji jubileuszu. W przemówieniu zaznaczyłam, że jemu i jego nauczaniu w czasie zaborów zawdzięczam wybór zawodu. Głęboko przejęło mnie wzruszenie dyrektora, przyjął je jako zobowiązanie na przyszłość. Przytaczam te szczegóły w celu ilustracji stosunków w szkole pod zaborem i jako hołd wdzięczności skromnemu profesorowi bez katedry, który w warunkach konspiracji chciał i umiał przekazać swą wiedzę, aby ją pogłębiać, gdy jego zabraknie.

* * *

Z kraju lat dzieciennych wyrwał nas wybuch wojny światowej. Warunki życia zmieniły się z dnia na dzień. Z panoramą Albertyna opuściliśmy beztrudnie lata. Rodzice zamieszkali w Siedlcach, gdzie już swój dom założyła jedna z siostr — chrzestna matka najmłodszej, która pensję Leonii Rudzkiej zamieniła na również siedmioklasową prywatną pensję kierowaną przez Jadwigę Michałowską, późniejszą dyrektorkę szkół średnich w Warszawie.

Ja, pod opieką mojej siostry, chrzestnej matki, znalazłam się w Warszawie i rozpoczęłam razem z koleżankami kursowymi pracę w Towarzystwie Macierzy Szkolnej.

Przełożona Leonia Rudzka zamknęła na razie Kursy Pedagogiczne, ale wiara, że „idzie nowe”, kazała nam, jej wychowankom, trwać na posterunku w poczuciu obowiązków i to „nowe” nie tylko przyspieszyć, ale przede wszystkim przygotować. Mając bardzo ograniczone możliwości, borykając się z trudnościami materialnymi, prowadziłyśmy zajęcia z dziesiątką z najuboższych dzielnic Warszawy w ramach własnego, na razie, programu szkoły podstawowej.

Zaczynałam rozumieć coraz śmielej, na czym polega moja droga

zyciowa, coraz swobodniej czułam się w gromadzie działwy, z którą zżywałam się coraz mocniej. Niestety, musiałam przerwać zajęcia ze względu na zagrożenie płuc — wyniku pracy w słabo ogrzanych lokalach szkolnych.

Wczesną wiosną wyjechałam do Pińska, gdzie zamieszkałam u siostry, pozostając pod jej opieką, a także matki, która po śmierci ojca również znalazła się w tym mieście. Od kwietnia 1915 roku, kiedy młodość przezwyciężyła niedomogę, a tęsknota za pracą pozwoliła na podjęcie obowiązków nauczycielki — zajęłam się wychowaniem ośmioletniego Krzysia Brezy i prowadziłam naukę do września 1918 r. Oprócz nowych zainteresowań i palących potrzeb społecznych, zainicjowałam harcerstwo, spotkania z młodzieżą, dla której wraz z siostrą podjęłam próbę rozpoczęcia normalnej nauki w zakresie pierwszych lat szkoły podstawowej.

Na jesieni 1918 r. ze względu na załamanie frontu i warunki rodzinne (zmarła moja siostra, pozostawiając synka na opiece najmłodszej siostry i szwagra) z żalem musiałam opuścić Pińsk, gdzie zostawiłam częśćkę mej duszy, i wyruszyć do Kijowa, w świat objęty pożogą wojny domowej.

Po ustabilizowaniu się sytuacji rodzinnej, w październiku tegoż roku, podjęłam pracę w szkolnictwie podstawowym przejętym przez władze miejskie. Szkoła była dobrze wyposażona, ufundowana przez znaną z mecenasostwa rodzinę Jaroszyńskich, i służyła jako ochronka dla polskich dzieci wysiedlonych z kraju; miała też internat prowadzony przez ukryte zakonnice pochodzące z Polski. Władze miejskie, zajęte sprawami zmiany władzy w mieście i kraju, nie interweniowały w programy nauczania; tak było do chwili mego wyjazdu, a nastąpił on po roku — w listopadzie 1919. Staraliśmy się wykorzystać jak najwszechstronniej tę sytuację względnej i niedługiej swobody. Trzynastomiesięczna praca we wspomnianej szkole okazała się dla mnie niezwykle ważna ze względu na to, że poznałam i utrzymywałam znajomość — którą przerodziła się w przyjaźń — z kierowniczką tej szkoły panią Anną Matysiewicz-Maciejewicz, siostrą pierwszego lotnika polskiego w wojsku rosyjskim.

Dzięki moim zainteresowaniom i przekonaniom religijnym zostałam w maju przyjęta do Sodalicji Mariańskiej pod kierownictwem zasłużonego dla Kościoła i kraju moderatora ks. prałata Teofila Skalskiego.

Pracę w szkole zaliczam do ważnego okresu mego życia ze względu na możliwość nauczania dzieci pochodzących z bardzo różnych kręgów społecznych, w różnym wieku — dzieci od 7 do 18 lat potrzebujących elementarnych podstaw wiedzy i zasad moralnych. Czasy terroru i grozy, zmieniających się władz politycznych spędzałyśmy na katechizacji dzieci i apostołstwie modlitwy za uwięzionych i sądzonych doraźnie rodaków.

Anna Maciejewicz ze swym bogactwem wiedzy i głębokim życiem duchowym była inicjatorką apostołstwa modlitwy. Bóg wyznaczył jej krzyżową drogę życia, nie załamały jej tragedie rodzinne, takie jak choroba psychiczna ojca, przedwczesna śmierć matki, tragiczna śmierć dwóch braci — Bolesława, pilota, i Stanisława, marynarza. Z pożogi rewolucji wyszła sama i podążyła „przez krzyż do nieba”. Spędziła dwa lata więzienia na Solówkach. W dzienniku, pisanym na dalekiej północy, oddała piękno i wielkość Bożej wszechmocy, co łagodziło udręki z powodu pozbawienia wolności. Lata rozdzieliły nas na długo, dopiero gdy odwiedziłam mój ukochany Kraków w latach sześćdziesiątych, mogliśmy się spotkać ponownie. Pracowała wówczas na skromnym stanowisku sekretarki parafialnej w Mszanie Dolnej. Znalazłam ją pogodną, posuniętą w latach, kochającą ludzi i przyrodę. Umierając powierzyła mi pamiątkę z pracy apostołskiej i ochrony Sacrum — małą bursę, korporal, własnoręcznie haftowany, wraz z puszką w aptekarskim pudełeczku. W tych „ubożuchnych szatkach” przechowywała w swym pokoiku przez 403 dni Przenajświętszy Sakrament; przemykając się nosiła chorem „Chleb Żywota”, a umierającym „zasilek na drogę wieczności”.

Pracę w Kijowie, mimo nasilającej się rewolucji i walk dwóch wrogich sobie reżimów, uważam dla dalszej mojej pracy pedagogicznej za wyjątkowo pomyślną. Wspomniana wyżej kierowniczka Anna Maciejewicz nawet w tym zamęcie uważała swą pracę nauczycielki za „służbę Bogu”. W tym wirze wydarzeń mogliśmy nie tylko uczyć, lecz także katechizować dzieci i młodzież, pozbawione często domu, opieki rodzicielskiej, nie znające elementarnych zasad życia moralnego. Była to gleba chłonna, „dana nam przez Opatrzność” do siejby w warunkach grozy rewolucyjnej, toteż bez konspiracji, ale już na głodno trwała praca w szkole. Wykorzystywaliśmy do tego każdy dzień. Z końcem października 1919 roku, w zamęcie rewolucji, ocalali polskie ziemiaństwo, a także inteligencja pracująca opuszczali Kijów. Wyjechałam i ja wraz z siostrą i jej rodziną. Powrót do kraju trwał — z przeszkodami, z dłuższym trzytygodniowym pobytem w Odessie — sześć tygodni. Jechaliśmy przez Podole; w Podwoleczyskach, po zdjęciu torów, szliśmy pieszo z bagażami, w trwodze przed grasującymi bandami, do linii granicznej. Chcieliśmy wrócić do pracy w wolnym kraju.

Od stycznia 1920 r., nie tracąc czasu, zgłosiłam się do pracy. Przeczytałam tablicę informacyjną na gmachu przy ulicy Pięknej 28, było to ośmioklasowe Gimnazjum Sodalicji Mariańskiej prowadzone przez Zofię Wołowską. Ten niemal błyskawiczny wybór miejsca pracy wpłynął decydująco na moje życie — tu spędziłam długie lata w okresie spokoju i podczas niemieckiej okupacji aż do 4 października 1944 r.

W czasie pierwszego spotkania z Zofią Wołowską zwróciłam uwagę na jej gotowość uczuciową; zachwycała się pięknem kultury rodzinnej, bogac-

two przeżyć wiązała z krajem, jego przeszłością i dniem jutrzejszym; była wyczulona na problemy bytu narodowego, odznaczała się niezachwianą postawą religijną, którą — jak się przekonałam — wyrażała śmiało, bez zastrzeżeń przez całe życie. I ją też zaliczam do „słupów ognistych” w moim życiu. Nawiazanie bliskich stosunków z panią przełożoną nastąpiło w pierwszej chwili naszego poznania. Z całą bezpośredniością powiedziała, że nie będzie mnie nazywała panną Władysławą, tylko po prostu Władeczką, co przyjąłam z radością. Natomiast do jej planu powierzenia mi w przyszłości kierownictwa szkoły odniosłam się bez najmniejszego entuzjazmu. Zajęta rozpoczętymi studiami, myślałam tylko o najbliższych latach i stabilizacji życiowej. Dopiero z czasem, gdy byt szkoły został zagrożony przez nakazy władz szkolnych, plany przełożonej zaczęły się urzeczywistniać.

Zajęcia szkolne rozpoczęłam od stycznia 1920 roku w niewielkim wymiarze kilku godzin przeznaczonych na pogadanki przyrodnicze. W tym samym również miesiącu zostałam słuchaczką Państwowego Instytutu Pedagogicznego, którego dyrektorem był mój dawny nauczyciel szkolny — Paweł Sosnowski.

Od września 1920 r. zapisałam się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego. Początki studiów nie były łatwe, należało za nie płacić, podjęłam się zatem prywatnych korepetycji. Życie w kraju i zajęcia szkolne pociągały mnie coraz silniej. Z inicjatywy ministra Ponińskiego dokonywało się zbliżenie młodzieży z niedawnych zaborów. W czasie ferii świątecznych młodzież wielkopolską gościły szkoły stolicy. Pamiętam, jak nawiązywano kontakty dzięki spotkaniom towarzyskim, występom artystycznym, śpiewom chóralnym i tańcom regionalnym. Młodość, jej urok, czar i wdzięk były pomocne w zadzierzgnięciu więzi między rodakami rozdzielonymi „przez zły los”. Mądra inicjatywa ówczesnych władz szkolnych godna jest przypomnienia, skutki jej okazały się w życiu dalekosiężne; siła złego kruszała, stawaliśmy się od korzeni narodem...

Nie miałam zbyt wiele czasu na radości życia akademickiego. Wyżywałam się w studiach na obu uczelniach, z większym zaangażowaniem w Instytucie, gdyż dawał mi szybciej skromną stabilizację życiową. Rozumiałam swoje zadania jako praktyka naukowca, który wiedzę przekuwa w czyn. Po trzech latach ukończyłam Instytut z wynikiem bardzo dobrym; pracę dyplomową *Starosta weselny w Polsce* wydrukowała w 1931 r. Kasa im. Mianowskiego.

Przerwałam jednak studia na uniwersytecie w 1930 r. Odnowiona choroba płuc zmusiła mnie do zmiany klimatu. Półroczny pobyt na południu Europy pozwolił mi okrzepnąć fizycznie i poznać kawałek pięknego świata, Francję i Włochy, co w dalszej pracy jako nauczycielki geografii okazało się korzystne. Skromny wymiar godzin lekcyjnych rozszerzyłam w roku 1926/27 do pełnego etatu. Wizytacja pana Sznuka

(imienia jego nie pamiętam) na lekcji z cyklu „Polska współczesna” i jego podziękowanie za lekcję, z życzeniem, „bym swego zapalu nigdy nie straciła”, umocniły mnie w przekonaniu o właściwym wyborze drogi życiowej.

Dzięki wiążącemu się z tym zabezpieczeniu materialnemu mogłam podjąć porzucone studia uniwersyteckie, ale na Uniwersytecie Poznańskim, gdzie w 1932 roku uzyskałam magisterium z psychologii i antropologii, również z wynikiem bardzo dobrym. Moje współżycie z młodzieżą stawało się coraz bliższe, zaczynałam jednak odczuwać potrzebę pogłębiania wiedzy o człowieku jako podmiocie mego wychowania. Rozumiałam, że braki w naszym narodzie wywołuje nietrwale i niekonsekwentne działanie woli. Ta dziedzina psychologii zbliżyła mnie do prac i osoby księdza profesora M. Dybowskiego, specjalisty w nauce psychologii woli. Przestudiowałam nie tylko jego opracowania w dziedzinie woli, ale i literaturę przedmiotu zainteresowań pokrewnych w dziedzinie pedagogiki, jak rozprawy Nawroczyńskiego, Bykowskiego, Zarzeckiego, Dawida oraz opracowania klasyczne w literaturze niemieckiej i belgijskiej. Dzięki temu udało mi się opracować kilka pryczyneków z dziedziny woli na podstawie materiału młodzieżowego w szkole Zofii Wołowskiej. Tak powstawały rozprawy: *Opór dziecka w domu i w szkole*, *Wytrwałość i motywacja młodzieży żeńskiej*, *Znaczenie przyzwyczajenia i przykładu w kształtowaniu woli*. Prowadziłam także obszerniejsze badania eksperymentalne nad znaczeniem wysiłku w życiu i pracy. Ta ostatnia rozprawa została zakwalifikowana przez prof. Stefana Błachowskiego jako rygorozum doktorskie, które udało mi się przeprowadzić w Poznaniu w kwietniu 1939 r. pt. „O wpływie wysiłku na wyniki pracy”.

Od września 1939 r., od najazdu hitlerowskiego na Polskę, rozpoczęła się nowa orka na naszej traktowanej ziemi, a z nią nowe, dużo trudniejsze warunki życia i pracy.

W moim życiu ostatnie przedwojenne lata przyniosły zmianę warunków pracy i zajęć. Od marca 1932 r. zostałam powołana przez przełożoną na kierowniczkę gimnazjum i wkrótce zatwierdzona na tym stanowisku przez władze szkolne.

Nagła zmiana w kierownictwie znanej w stolicy szkoły wymaga pewnego komentarza.

Władze szkolne nie respektowały ideologicznego kierunku szkoły, zarzucając pomijanie wychowania państwowego, pojmowanego wąsko jako kult marszałka Piłsudskiego⁶. Zarzuty dotyczyły również wyposażenia szkoły, które nie odpowiadało potrzebom dydaktycznym, a także personelu, składającego się w znacznej mierze z osób wiekowych — żądano zmiany kierownictwa. Przekazanie tej wiadomości powierzono mnie, osobie od początku roku szkolnego przedstawionej władzom szkolnym jako inspektora szkolnego (na podobieństwo zaprzyjaźnionej Szkoły św.

Wojciecha). Szkole cofnięto prawa szkół państwowych, co groziło jej zamknięciem. Z powodu zagrożenia szkoły należało decydować się szybko, by ją ratować. Nagła śmierć przełożonej w Wielką Sobotę w kościele kampinoskim 26 marca 1932 r. przyspieszyła rozwiązanie. W zaistniałej sytuacji postanowiłam nie interweniować w sprawie zatwierdzenia mojej kandydatury na stanowisko dyrektorki.

Nominację kuratorium na to stanowisko otrzymałam w znamiennej chwili, gdy kondukt pogrzebowy zatrzymał się na pożegnanie u bramy szkolnej. Świadoma treści urzędowego pisma, złożyłam je nie czytając; tak zgięty dokument przechowuję do dziś jako akceptację samej przełożonej. Po nominacji w pierwszej kolejności podjęłam staranie o przywrócenie szkole praw szkół państwowych. O pomoc dla katolickiej szkoły zwróciłam się do księdza kardynała Kakowskiego i do nuncjusza. Obaj obiecali natychmiastową interwencję, a nawet nuncjusz Marmaggi, dowiedziawszy się o mojej nominacji, udzielił mi błogosławieństwa, które przyjąłam z wielką wdzięcznością i wiarą, zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka spada na moje barki. Nad otwartą mogiłą przełożonej złożyłam przyrzeczenie, że w kierownictwie zachowam wierność zasadom pedagogicznym założycielki szkoły.

Żądania władz szkolnych były niewątpliwie uzasadnione, rzeczywista sytuacja szkoły ograniczała możliwości ich realizacji. Sprawiedliwość wymaga, aby podać kilka faktów z przeszłości, które utrudniały adaptację szkoły do potrzeb młodzieży w odzyskanej, niepodległej ojczyźnie.

Do dziś znane są dzieje szkolnictwa z czasów zaborów, kiedy respektowano tylko szkolnictwo państwowe. Mecenas kultury rodzimej szukali różnych sposobów prowadzenia tajnego szkolnictwa. Pierwsze seminarium nauczycielskie w byłej Kongresówce przełożona założyła pod nazwą freblówki i przedszkola dla dzieci. W konspiracji, pod groźbą zamknięcia szkoły i narażenia własnej wolności, wprowadziła do programu język ojczysty, historię, geografii, nauki przyrodnicze i elementy nauk ścisłych. Polityczne niepowodzenie Rosji na Dalekim Wschodzie, przegrana wojna japońska, a potem ruchy rewolucyjne zostały natychmiast wykorzystane do ratowania szkolnictwa. Jako koniunkturalne tolerowano szkoły handlowe i z takiej możliwości skorzystała przełożona. Jeden z jej nauczycieli, p. G., zaofiarował swe usługi przy otwarciu szkoły handlowej dzięki znajomości stosunków i ludzi w stolicy zaborcy. Pozwolenia nie tylko nie uzyskał, ale nadużył dancj plenipotencji, wystawił niespodziewanie na licytację gmach szkoły — rękojmię jej przetrwania.

Dzięki natychmiastowej pomocy zaprzyjaźnionych rodziców wychowanek, ofiarności nauczycielstwa oraz życzliwych ludzi udało się uchylić licytację, jednak z ogromnym nadszarpnięciem odziedziczonego po rodzicach majątku przełożonej, przeznaczonego na dalszy rozwój szkoły. Straty materialne i niewątpliwie cięższe, moralne, spowodowane

nieuczciwością nauczyciela, nie załamały przełożonej. Nadal wykorzystywała polityczne koniunktury i prowadziła swe seminarium, a także siedmioklasową pensję, czyli szkołę normalną, jak zawsze z polskim programem nauczania. Z odzyskaniem niepodległości przełożona skorzystała z szansy przekształcenia pensji w ośmioklasowe gimnazjum ogólnokształcące dla dziewcząt. Jednakże adaptacja nowej placówki, bez likwidacji deficytowego seminarium, okazała się, w porównaniu z potrzebami dnia, dużo trudniejsza niż innych powstających szkół, wolnych od uciążliwych doświadczeń. Przełożona liczyła jednak na dobrą wolę naszych władz szkolnych, które dadzą czas na okrzepnięcie materialne. Wszak i państwowe szkolnictwo w odrodzonym kraju miało powolne tempo rozwoju — na miarę możliwości. Nie mogło się pochłubić cenionymi i tak oczekiwanymi wzorowymi szkołami, jak szkoła im. Królowej Jadwigi dla dziewcząt i Stefana Batorego dla chłopców. Pan kurator Ignacy Pytlakowski, też dawny nauczyciel matematyki w szkole Zofii Wołowskiej w okresie zaborów, podpisał w marcu 1932 roku dekret cofający prawa szkół państwowych i kierownicze stanowisko przełożonej, o czym miałem zakomunikować jej ustnie.

Wychowanki szkół im. Zofii Wołowskiej znają te smutne karty swej uczelni, które wymagają sprawiedliwej oceny i wyjaśnienia.

* * *

Po śmierci przełożonej, zgodnie z jej wolą, szkoły zostały przekazane Zgromadzeniu OO. Dominikanów. Testament „obligował” Zgromadzenie do prowadzenia istniejących szkół — seminarium nauczycielskiego, ośmioklasowego gimnazjum i szkoły powszechnej pod kierownictwem, jakie zastanie śmierć ich założycielki. W myśl życzeń przełożonej objęłam kierownictwo ośmioklasowego gimnazjum, powierzając kierownictwo szkoły powszechnej naszej zasłużonej nauczycielce fizyki, dr Zofii Alchimowicz. Seminarium od roku szkolnego 1934/35 miało ulec likwidacji. Pozwoliło to na szybszy i pełniejszy rozwój szkoły ogólnokształcącej. Obok czteroletniego gimnazjum zaprojektowałam dwa typy liceum: humanistyczne i przyrodnicze, najbardziej odpowiadające zainteresowaniom młodzieży żeńskiej.

W procesie rozbudowy szkół i zaspokajaniu najpilniejszych bieżących potrzeb z pomocą materialną przyszli ojcowie dominikanie, wykupując cztery lokale zajęte od lat przez lokatorów, których broniła ustawa o ochronie podnajemców. Zespół pedagogiczny gimnazjum, liceum i szkoły powszechnej zrezygnował z 15 procent uposażenia, aby umożliwić szkole zaspokojenie potrzeb dydaktyczno-pedagogicznych.

Z pomocą i radą pospieszyli przyjaciele z grona rodzicielskiego; uważam za swój obowiązek wymienić ich nazwiska. Wakacje 1932/33 przeznaczono na przystosowanie przybudówki parterowej w ogródku na salę

gimnastyczną, którą zaopatrzone w natryski. W tej akcji okazał swą pomoc fachową inż. Wołkowiński. Cztery odzyskane lokale przeznaczono na pracownie: historyczną i geograficzną, pracownia fizyczno-chemiczna istniała już od dwóch lat. Piękną salę — dawną pracownię malarską — zaadaptował inż. Lichy na pracownię robót ręcznych, którą wyposażył dzięki swym możliwościom w próbki drewna rodzimego i egzotycznego. Zajęcia prowadziła odpowiedzialna za pracownię p. Filomena Mierzińska, dyplomowana nauczycielka robót ręcznych. Parterową salę rekreacyjną o powierzchni 120 m² odnowiono z przeznaczeniem na aulę z jarzeniowym oświetleniem i ozdobiono szkolnymi sztandarami, które zawisły na jasnoniebieskich ścianach malowanych według nowych wzorów. Na sztandarze szkolnym widniało hasło „Bóg i Ojczyzna”, a na harcerskim wezwanie „Czuwaj”. Ten drugi sztandar ufundował nieoceniony przyjaciel szkoły, pan Bronisław Krakowski, którego córka, Marysia, jako celująca i wzorowa uczennica w czasie siedmioletniej nauki była naszą pierwszą medalistką.

Proces adaptacji i rozbudowy lokalu do potrzeb reformy szkolnej dokonywał się rokrocznie: w dwóch salach rekreacyjnych i w klasach szkolnych położono wykładziny posadzkowe, ławki zastąpiono stolikami z błękitnymi blatami i jasnymi krzeselkami. W salach szkolnych wprowadzono jako pomoc szkolną podręczne biblioteki; znalazły się w nich najpotrzebniejsze polskie słowniki ortograficzne, słowniki języków nowożytnych, młodzieżowa encyklopedia *Świat i życie* (wyd. Trzaski, Everta i Michalskiego), mały Larousse i miesięcznik „Filomata” dla klas licealnych. Biblioteka szkolna, licząca około trzydziestu tysięcy książek, została w czasie okupacji wzbogacona wydawnictwami z literatury pięknej, które udało się kupić od repatriantów zza Bugu. Były to pozycje cenne nie tylko ze względu na treść i piękne wydanie, ale także na picyzm, jakim otaczali je byli właściciele. Marginesy książek zdobiły ornamenty — zasuszone rośliny, wklejone ręką znawców i wielbicieli książek. Nasza wychowanka Dygna Wróblewska, córka przyjaciół szkolnych, drużynowa naszej 29 Warszawskiej Błękitnej Drużyny Harcerskiej, późniejsza harcmistrzyni Hufców Polskich (wychowanka szkoły od lat dziecięcych), zradiofonizowała kaplicę szkolną. Adaptację gmachu szkolnego do celów dydaktycznych i jego wystrój wykonywano nieprzerwanie w latach 1932—1934 aż do wybuchu wojny, a dalsze plany zamierzono zrealizować w najbliższej przyszłości.

Troska o rozbudowę szkoły i jej dostosowanie do potrzeb dydaktycznych w myśl upodobań i życzeń młodzieży znalazła swe echo we wspomnieniach jednej z naszych wychowanek — Marysi Jastrzębskiej, która nadesłała mi z Anglii jako siostra Irena z polskiej szkoły Zgromadzenia SS Nazaretanek w Pitsford pod Londynem przedziwo pamięci z lat 1934—1942 o naszej szkole przy ulicy (wtedy) Piusa XI.

W pierwszym roku po śmierci przelozonej udało się odnowić całą elewację gmachu szkolnego, uporządkować ogródek szkolny o powierzchni 2400 m², dostosować boisko do sportów letnich, a zimą urządzić lodowisko.

Poważną troską była potrzeba odmłodzenia kadry pedagogicznej. Zastąpieni pracownicy odeszli — zmarł profesor Adam Szpadkowski, historyk, znany ze swej erudycji i ukochania przeszłości, odszedł na emeryturę łacinnik Kazimierz Kozielski, zmarł zasłużony polonista Henryk Kordowski, ze względów rodzinnych opuściła szkołę bratanica przelozonej dr Zofia Wolowska.

Dzięki kontaktom z młodzieżą akademicką, zrzeszoną w Iuventus Christiana, pozyskałam dziesięć młodych sił pedagogicznych, odpowiadających ideologii i tradycji szkoły. Wprowadziłam obok języka francuskiego do wyboru język niemiecki. Jak trafnie w późniejszych latach podkreśliła nasza romanistka, pani mgr Janina Biron, „gdy w Rzeszy Niemcy palili dzieła swych klasyków, w okupowanej Warszawie ten zakazany rodzaj lektury jako dorobek kultury światowej był respektowany w podziemnej akcji nauczania”. Cała kadra pedagogiczna miała nie tylko ukończone studia w zakresie obranej specjalności, ale zgodnie z zarządzeniem ministerstwa WRiOP — przeszkolenie pedagogiczne. Podaję listę nowo zaangażowanej kadry: mgr Maria Rybarzewska — polonistka, dr Alina Drozdowicz — historyczka, mgr Janina Przybylska — łacinniczka, dr Lidia Winniczuk — łacinniczka, mgr Maria Rapačka — romanistka, dr Aleksander Godlewski — biolog, mgr Dygna Wróblewska — fizyk, mgr Barbara Figurska — germanistka, mgr Xawery Szwarec — matematyk, mgr Maria Piotrowska — geograf.

Młoda kadra wniosła energię do pracy w szkole, znajomość nowych metod, przez co podniosła poziom dydaktyczno-wychowawczy w realizacji reformy szkolnej, nade wszystko zaś złączyła nas wspólna ideologia i tradycja szkoły w harmonijnym dążeniu do osiągnięcia celu pracy. Pragnąc pogłębić wiadomości w dziedzinie najbardziej palących potrzeb społecznych, zorganizowałam roczny kurs z psychologii rozwojowej i, szczególnie ważnej dla naszego narodu, psychologii woli. Prowadził go specjalista w tej dziedzinie — ksiądz profesor Mieczysław Dybowski, w formie seminarium dyskusyjnego dla całego grona nauczycielskiego, a niektóre działy — jak formy działania woli, jej motywacje, typy woli — dla pań wychowawczyń i matek naszych wychowanków, sprawujących obok wychowawczyń patronat nad poszczególnymi klasami. Ten rodzaj akcji okazał się nie tylko przydatny dla naszych potrzeb wychowawczych, ale wszedł do zakresu literatury naukowej; w „Kwartalniku Psychologicznym” i „Kwartalniku Pedagogicznym” wydrukowano prace: *Opór w domu i w szkole*, *Wytrwałość i motywacja młodzieży żeńskiej*, *Opór jako tło przestępczości*, *Znaczenie przyzwyczajenia i przykładu w procesie wychowania*, *Typologia młodzieży*

żeńskie] w opracowaniu dyrektorci w latach 1934—39 i powtórzenie wydania w roku 1947, *O wpływie wysiłku na wyniki pracy, Przeżycia oporu i jego stosunek do woli*. Na podstawie badań naszej młodzieży w 1935 r. profesor Dybowski opublikował w „Kwartalniku Psychologicznym” pracę *Perseveration as a measure of negativism and its estimation by means of photographs*.

W procesie wychowania zwróciliśmy uwagę na potrzebę wzbudzenia w młodzieży zainteresowań dzieckiem jako członkiem rodziny ludzkiej celem jej chrześcijańskiego rozwoju. W tym celu w procesie nauczania, zwłaszcza nauk humanistycznych, wykorzystywano treści wzbogacające psychikę dziewczęcą w jej tylko właściwe cechy charakteru — zdolność do ofiarnej miłości, zwrócenie uwagi na coraz powszechniejsze bezwzględne warunki technizacji pracy i eksploatacji bogactw naturalnych. Szerekie możliwości w tej dziedzinie mieli poloniści, historycy, filologowie. Od roku 1934/35 w ramach akcji Czerwonego Krzyża pod kierunkiem lekarza szkolnego, dr Walentyny Bitnerowej, wprowadziliśmy dla pierwszej klasy licealnej (odciążając klasy maturalne) akcję pielęgnacji niemowląt na terenie żłobków stolicy. Akcja uzyskała zezwolenie nasych władz szkolnych i ogólną aprobatę rodziców.

W ramach akcji Czerwonego Krzyża w ciągu sześciu lat prowadzone było szkolenie sanitarne przez pułkownika dra Fiumela (imienia nie pamiętam), wykładowcy Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie. W ćwiczeniach brały udział wychowawczynie, łącznie z dyrektorką, a po ukończeniu kursu wydano świadectwa sanitariuszek. Wiedza praktyczna w tej dziedzinie okazała się niezastąpiona w latach okupacji i podczas działań wojennych, jak również w warunkach życia powojennego, o czym wspominają nasze wychowanki, matki liczniejszych rodzin i opiekunki starszego pokolenia.

* * *

Wspominając minione lata poświęcone pracy szkolnej nie można pominąć członków całego grona pedagogicznego, bo wszyscy byli wykonawcami planu naukowo-wychowawczego i wszyscy wnosili swą twórczą energię, która dawała nowe możliwości realizacji, bez względu na cenę. Wyrazy wdzięcznej pamięci należą się wszystkim — zabrakło niekiedy czasu na ich wypowiedzenie w codziennym trudzie. Wspomnieć wypada szczególnie tych, którzy odeszli, pozbawieni godności ludzkiej, zamęczeni w obozach, na szlakach wygnania z rodzinnego domu, złożeni w nieznanym mogiłach, a umierali ze świadomością ofiary „dla ciebie, Polsko, Ojczyzno moja”; przekazanie pamięci o nich jest dziś obowiązkiem nas, żyjących!

W pierwszych latach okupacji zmarł nagle nasz kolega, Henryk Kordowski, polonista, którego delikatna struktura duchowa nie przetrzymała wzmagającego się terroru. W trzecim roku okupacji z zebrania

konspiracyjnego zabrano matematyka, Xawerego Szwarca, a w pół roku po uwięzieniu w Oświęcimiu zawiadomiono o jego śmierci na tyfus, co potwierdzili towarzysze niedoli. Grypssem powierzył nam opiekę nad żoną i małą córeczką, które schroniłyśmy w ocalałej oficynie, otaczając je opieką. W życiu i pracy odznaczał się obok wiedzy brawurową odwagą i życzliwością, którą odczuwała młodzież i my, koledzy.

W czasie Powstania zginęły w akcji: zdolna, sumienna Jadwiga Przybylska, łacinniczka; w „kwadracie śmierci” na terenie szpitala sióstr elżbietanek znalazła śmierć pod gruzami wraz z rodziną nasza zasłużona seniorka, polonistka, Jadwiga Trzcńska, o której dłuższe wspomnienia przytoczę poniżej. Trzynastego września zginęła w akcji powstańczej nasza wychowanka, z ukończonymi studiami, nauczycielka fizyki, Dygna Wróblewska. Swą postawą harcerską zdobyła sobie taką miłość, uznanie i poważanie młodzieży, że dziewczęta darzyły ją nie tylko przywiązaniem; miała autorytet moralny tak znamienne wyrażony w słowach: „panny Dygny nie możemy zdradzić za jej zaufanie do nas”; wprowadziła w pracach klasowych zwyczaj podawania jednego tematu dla wszystkich, bo wierzyła i ufala młodzieży. O zmarłych druwnach w akcji Powstania podałam szczegóły w opracowaniu: *Tak było*. Jako ofiary wysiedlenia po Powstaniu zmarły z trudów i niewygody życia koleżanki: Adela Zajączek, romanistka; Jadwiga Kruszyńska, nauczycielka matematyki w gimnazjum i Helena Iwanko, plastyczka.

Wspomnę także o zasługach kolegów i koleżanek zmarłych po odzyskaniu niepodległości, wymieniając na pierwszym miejscu naszego prefekta dra Antoniego Rurana, którego śmierć osierociła nie tylko rodzinę szkolną, ale i licznych mieszkańców stolicy i Milanówka, towarzyszących w ostatniej drodze swemu pasterzowi. Wierni uczniowie przenieśli trumnę na ramionach trzykilometrową trasą do otwartej mogiły.

Pracę rozpoczął ksiądz prefekt we wrześniu 1920 r., zaraz po studiach na KUL-u, i dzielił ją z nami w ciągu dwudziestu pięciu lat w wolnej Polsce, podczas okupacji i w Powstaniu (za udział w akcji uzyskał stopień majora); w latach powojennych towarzyszył nam słowem, obecnością i stałą czujnością nad losami życia Rodziny Szkolnej, której przewodniczył, na zjazdach i spotkaniach wspierając ją moralnie. Wrosł w nasze serca swą bogatą osobowością, zasłużył na wierną przyjaźń okazywaną w latach, gdy już siły nie pozwalały mu osobiście uczestniczyć w spotkaniach Rodziny Szkolnej, której losami interesował się do ostatniej chwili życia.

Można postawić pytanie, jak ten cichy człowiek, nie ujmujący cechami fizycznymi i z trudnościami wymowy, uzyskał powszechny szacunek, przywiązanie i cześć dla swego tak godnie sprawowanego kapłaństwa? Jako nauczyciel był zawsze dobrze przygotowany do lekcji, starannie przeprowadzonej pod względem dydaktycznym. Te uzdolnienia młodzież zawsze umie docenić, ale ksiądz prefekta wyróżniała dobroć i szacunek

dla każdej wychowanki, którą ujmował swą delikatnością obcowania — wyznacznikiem jego subtelnego sumienia. Do niego odnoszą się słowa *Pisma Św.* o pasterzu, który „zna swe owce”. Znał uczennice i pamiętał o tych, które potrzebowały rady, pomocy oraz tak pożądaną życzliwości, zrozumienia młodzieży w trudnościach rozwoju. Pamiętał o ich osobistych uroczystościach, jak imieniny, święta rodzinne. Czuli na każde drganie Łaski, umiał ją wzbogacić i strzec. Nie pominął różnych okazji życiowych, by ją upamiętnić, obdarowywał wychowanki wydaniem *Pisma Św.*, *Nasładowania*, książkami filozoficznymi, zawsze w najpiękniejszej oprawie. Otaczał troską i opieką kapłańską nasze wychowanki w czasie choroby, przygotowywał na drogę wieczności, jak Basię Trzcinińską, uczennicę czwartej klasy, Miecię Puchalską, abiturientkę, rokującą wielkie nadzieje dzięki wybitnej inteligencji. Jako katecheta cenil wolność ducha młodzieży, nigdy nie sprawdzał listy obecności w udziale Mszy św. niedzielnej, uczestnictwa w sakramentach świętych, był zawsze gotowy do kapłańskiej pomocy. Młodzież wiedziała o jego obecności w szkolnej kaplicy przed świętami liturgicznymi, wigilią czczonych, a skasowanych świąt Matki Najświętszej, przed pierwszym piątkiem miesiąca, świętami narodowymi. Młodzież ceniła jego uwagi, często pytała o radę, poddawała się jego wpływowi, rozwijała zdolności apostołstwa świeckich. Nas, kolegów, ujmował na radach pedagogicznych trafnością rozwiązywania problemów promocji, kwestii dopuszczenia do matury. Prosił o przerwę w dyskusji, by rozwiązanie problemu znaleźć podczas modlitwy w kaplicy. Swym przykładem uczył nas rozwiązywania trudności osobistych, społecznych, narodowych. Jego rozmodlenie w czasie sprawowanego misterium udzielało się obecnym, emanowało i uczyło cześć tajemnicę Sacrum. Jego miłość odślaniała się w modlitwie, którą hojnie obdarowywał nas wszystkich, gdy spadały na nas troski. Takim pozostał do końca dni swego życia. Mieszkając w Milanówku, czuł w modlitwie, jak lampka wieczysta, której światło docierało do nas rozproszonych. Pokorny, zapytywany za życia o epizody swego kapłaństwa, odpowiadał: „Po śmierci znajdziecie je w mojej szafie”. I okazało się, że o uzyskaniu przez niego stopnia majora dowiedzieliśmy się dopiero z nekrologu.

Wspominając zasługi czcigodnych kolegów seniorów, nie mogę pominąć dwóch, wielce zasłużonych. Pierwszą z nich była polonistka, Jadwiga Trzcinińska, niestrudzona korektorka języka ojczystego, która kładła podwaliny pod opanowanie wiedzy i poznanie piękna naszej mowy. Trudziła się, starannie przeglądając prace domowe młodzieży, i wpisywała życzliwą zachętę widząc wysiłki uczennic. Pamiętam ocenę dra Franciszka Skibińskiego, który po wizytacji, kładąc rękę na stosie poprawianych prac domowych, stwierdził: „Tu widać pracę i wpływ trudu polonistki”. A młodzież, choć uskarżała się na wymagania pani Trzcinińskiej, bardzo ceniła jej wyróżnienia.

Drugim z kolei zasłużonym seniorem był niestrudzony nauczyciel mowy Horacego, Cycerona i Wergiliusza, pan Lucjan Pyś. Nie mogąc pominąć milczeniem jednej lekcji łaciny w pierwszym roku jej nauczania. Pan Pyś przyszedł po lekcji bardzo zmartwiony i zrezygowany, rozmowę zakończył ku memu zaskoczeniu: „Proszę pani dyrektorki, albo ja, albo panna Maria W. zostanie w klasie. Mimo zwrócenia przeze mnie uwagi stuknęła w ławkę bez przerwy”. Nagłej decyzji cenionego nauczyciela nie można było zostawić bez rozważenia. Marysia zapytana, jak mogła przeszkadzać w pracy panu profesorowi, odpowiedziała: „A czy pani dyrektorka wie, ile razy pan profesor użył na lekcji swego ulubionego zwrotu »a proszę«? Naliczyłam, stukając palcem w ławkę, czterdzieści osiem”. Po dłuższej rozmowie z obwinioną Marysią poprosiłam do gabinetu pana profesora, chcąc go przeprosić za winowajczynię. Ku memu zaskoczeniu i zdumieniu pan Pyś, śmiejąc się, wyjaśnił: „To prawda, rzeczywiście mówię tak bardzo często. Młodzież, jak to młodzież, nie przeoczy żadnej naszej śmieszności”.

Podziw dla nauczyciela ku „naucce i przestrodze” wyraziłam w jednym z artykułów w miesięczniku „Słowo i Myśl”. Nie mogłam sobie odmówić przyjemności, by raz jeszcze wyrazić szacunek dla profesora na jednym z naszych dorocznych spotkań po latach i zapewnić go, że z wdzięcznością wspominam jego poczucie humoru, które w metodach wychowawczych wobec trudnej młodzieży jest jednym z doskonałych chwytów.

Wdzięczną pamięcią darzę naszą młodą kadre, szczególnie zasłużoną w czasie okupacji (dzieje szkolnictwa okupacyjnego podałam w 1957 roku w pracy pod tytułem *Tak było* dla Instytutu Historycznego PAN-u w Krakowie). Mimo licznych łapanek, tragicznych przeżyć rodzinnych można było zawsze i o każdej porze liczyć na jej obecność. Egzamin maturalne przeprowadzaliśmy z pełnym zachowaniem programu ministerstwa WRiOP. Na ogół przebieg egzaminów nie był zakłócony przez denuncjacje, jednak raz jeden dotarł autentyczny list skierowany do gestapo, opatrzone nazwiskiem i adresem denuncjanta, który zawiadamiał o terminie i miejscu mającej się odbyć matury. Pismo to zostało podane do wiadomości naszych tajnych władz szkolnych. Stopnie 165 protokółów maturalnych z okresu okupacji ocalały w sklepie z dewocjonaliami przy kościele św. Anny. Przekazałam je po wojnie kuratorium Warszawskiego Okręgu Szkolnego, które na ich podstawie wydawało zaświadczenia państwowe.

Niezwykle trudności nauczania literatury ojczystej pokonywała pani mgr Maryla Rybarzewska, polonistka, dojeżdżając codziennie z Milanówka kolejką WKD, najczęściej zatrzymywaną przez policję i narażoną na łapanki. Jej subtelnej interpretacji literatury pięknej, zwłaszcza romantyzmu, zawdzięczamy zrozumienie i miłość rodzimej kultury, ukochanie kraju, zachowanie człowieczeństwa w nocy okupacyjnej.

Dr Alina Drozdowska, historyczka, wniosła wiele wysiłku i inwencji w podtrzymanie krzepiącej nadziei koniecznej do życia i nauki, w zaspokajanie troski o dożywianie młodzieży dojeżdżającej, a nie dożywianej w domu. Dzięki fuzji z miejską szkołą koronek i haftów otrzymywała przydział prowiantu i z młodzieżą przyrządzała odżywczy posiłek. Jej pomysłem artystycznym i znakomitej organizacji zawdzięczamy imprezy szkolne ku pokrzepieniu ducha i nadziei młodzieży.

Pani mgr Janina Biron, romanistka, zapisała się w kronice szkolnej jako nieoceniona pamiętnikarka naszej akcji oświatowej w konspiracji. Jej zawdzięczamy pierwsze publikacje z historii tajnego nauczania w wydaniach krajowych⁶ i zagranicznych. W uznaniu zasług przyznano jej francuską odznakę Kawalera Orderu Palm Akademickich.

Zc względów bezpieczeństwa o konspiracyjnej działalności kolegów dowiedzieliśmy się po odzyskaniu niepodległości. O udziale w konspiracji naszej koleżanki germanistki usłyszałam po zakończeniu działań wojennych. Podaję relację mgr Barbary Figurskiej dokładnie według jej słów: „Do konspiracji wstąpiłam w 1942 roku, kiedy zaarrestowano siostrę i szwagra. Byłam kolporterką i kurierką. Jako kurierka jeździłam do Lwowa i Siedlec. Potem byłam tylko kolporterką i robiłam przeglądy prasy w języku niemieckim dla BIP-u w AK. Pomagałam przy organizacji punktu BIP-u w Śródmieściu przy ul. Wilczej. W ostatnich dniach sierpnia 1944 roku przeszłam z czteroosobową ekipą kanałami na Mokotów, gdzie robiłam nasluchy w języku niemieckim dla biuletynów informacyjnych, które codziennie były dostarczane do komendy płka Karola. Po poddaniu się Mokotowa usiłowałam z moją grupą przejść kanałami do Śródmieścia, które się jeszcze broniło. Próba nie udała się”.

Mgr Jadwiga Markiewiczówna, matematyczka, która zaczęła u nas pracę w 1932 r., objęła przed wojną swym patronatem akcję młodzieżową; celem jej było nawiązanie i umacnianie więzów braterstwa z działalnością szkolną na Polesiu i Mazurach. Do pierwszych zbliżeń doszło w drodze korespondencji.

Wzajemnie poznano warunki i potrzeby w pracy szkolnej. Rodzice naszych wychowanek ułatwili osobiste kontakty, zapraszając dzieci do stolicy. Wzajemne kontakty okazały się korzystne, młodzież stolicy poznała trudne warunki nauki na wsi i w miastach prowincjonalnych i pośpieszyła z pomocą: dostarczała pomocy szkolnych i odzieży, zrezygnowała z niejednej przyjemności na rzecz swych nowych przyjaciół. Szkoła nasza gościła wycieczki, które przybyły do stolicy w celu poznania piękna, historii i kultury kraju. Niestety i te cenne korzyści ze wzajemnego poznania pozostały już tylko reliktem przeszłości, choć wzbogaciły nasze doświadczenia.

Wspomniana wyżej Dygna Wróblewska nie tylko zapisała się w naszych sercach jako bohaterska harcmistrzyni, lecz wniosła trud harcer-

skiej pracy w 29 Drużynę Harcerską. Wychowanie harcerskie nie zostało przerwane w latach okupacji, zmienił się tylko rodzaj zajęć. Dygna Wróblewska stanęła do pracy jako kolporterka prasy podziemnej, łączniczka szybkiego porozumiewania. Po pierwszym pożarze we wrześniu 1939 r. pomogła nam w ratowaniu mienia szkolnego; nie przewidywała, że ulegnie ono zagładzie w Powstaniu (obszerne dzieje drużyny harcerskiej zamieściłam w historii pt. *Tak było*).

Wspomnienia o szkole byłyby niepełne bez obrazu naszych szkolnych dzieci — podmiotu myśli i troski serca. To one pobudzały w nas nie słabnącą z latami odpowiedzialność zawodową. To młodzież uświadomiła nam prawdę, że od naszego zachowania zależy powodzenie trudu pedagogicznego, ona dynamizowała nasze działania, uprzytomniła obowiązki panowania nad sobą, konieczność samowychowania. Jej dojrzałość i ufność wznagała czujność przy realizacji kierunku wychowawczego. Mimo nieubłaganego upływu czasu szkoła żyje! Choć miejsce naszego gmachu szkolnego z jego sanktuarium Jasnogórskim, ogródek z boiskiem do gier i zabaw sportowych nie istnieją, na ścianie jednej z czynszowych kamienic wmurowano tablicę ku wdzięcznej pamięci założycielki szkół i jej współpracowników. Były wychowanki wraz z uszczuplonym personelem pedagogicznym zrzeszyły się w Towarzystwie Przyjaciół Warszawy, które udziela sali na spotkania mające przedłużyć wspomnienia „o rajach na zawsze utraconym” i umocnić siły we wspólnych obchodach ku czci odeszłych poza próg życia, zjednoczyć nas na dorocznych uroczystościach związanych z tradycją choinki, opłatka, Nowego Roku. Wiąż się zacieśnią podczas udzielania sobie wzajemnej pomocy. Wychowanki przedłużają pamięć o tym, jak było, chcąc przekazać nadchodzącemu jutru jeszcze zdaje się tak niedawne wczoraj, by nie odeszło w zapomnienie.

* * *

Powstanie przeżyłam w kamienicy sąsiadującej z budynkiem szkolnym, który oddałam do użytku powstańców. Do akcji przystąpiłam po zaprzysiężeniu na kilka tygodni przed wybuchem walk. Kierownictwo podziemia przekazało mi opiekę nad ludźmi starszymi w kwartale ulic Marszałkowska, Wilcza, Mokotowska. Zachowałam w pamięci dwie seniorki: matkę generała Kopańskiego oraz żonę doktora G., z pochodzenia Szwedkę, którą ratowałam z psychozy lęku w ramach powierzonych mi zadań. Studia psychologiczne pozwoliły mi zastosować działanie sugestii i samosugestii jako ratunku przed psychozą lęku.

Czwartego października 1944 r. w gronie znajomych z Powstania udało mi się wydostać z obozu w Pruszkowie z obandażowaną głową jako ofiarze akcji wojennej i wyjść poza granice obozu. Zatrzymałam się u siostry zamieszkałej w Radomiu. Do 15 kwietnia 1945 r. prowadziłam

komplet dwóch uczennic i chłopca z Inowrocławia. Przerabiałam, zgodnie z programem szkoły ogólnokształcącej, kurs pierwszej klasy licealnej i czwartej gimnazjalnej. Piętnastego kwietnia 1945 roku wyjechałam do Poznania, gdzie miejscowe kuratorium powierzyło mi inwentaryzację bazy szkolnej na Ziemiach Odzyskanych, Wielkopolski i Pomorza Zachodniego. Złożyłam sprawozdanie w sierpniu, a od września podjęłam pracę w kuratorium koszalińskim, potem w szczecińskim jako wizytator szkół ogólnokształcących. Z tych lat utkwilo mi w sercu i pamięci nie tylko kilka spotkań z młodzieżą, lecz i prac społecznych przeprowadzonych na zjazdach pracowników pedagogicznych. Tematem było „Wychowanie młodzieży w obliczu wydłużonego dostępu do morza”, z zaprojektowanymi propozycjami o organizacji szkolnictwa morskiego. Prace zostały wydrukowane w „Dzienniku Kuratorskim” i nadane przez miejscowe radio. Dwa lata pracy organizacyjnej pozwoliły mi na rozszerzenie poglądów w zakresie administracji szkolnictwa jak i na udzielanie pomocy pedagogicznej kolegom. W tym czasie zorganizowałam i prowadziłam publiczne wykłady na tematy związane z gospodarczymi i kulturalnymi potrzebami Ziemi Odzyskanych.

Po dwóch latach — w czasie których złożyłam pracę habilitacyjną i zdałam rygorozum 2 i 3 maja 1945 roku na temat „Przeżycie oporu, jego stosunek do woli” — wróciłam do Poznania. Czekając piętnaście lat na zatwierdzenie habilitacji, prowadziłam wykłady zleczone na uniwersytecie i współpracowałam z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej w Poznaniu, Szczecinie i okolicach. Podjęłam również prowadzenie lektoratu z języka rosyjskiego w Akademii Rolniczej w Poznaniu, gdzie w niedługim czasie powierzono mi wykłady z pedagogiki i psychologii na kursach oświatowych dla pracowników kulturalno-oświatowych. Te ostatnie prowadziłam do 1973 r., już po odejściu na emeryturę. Habilitacja, zatwierdzona w 1962 r., dała mi możliwość tylko czteroletniej pracy w Akademii Rolniczej, gdzie zarówno z młodzieżą, jak i z władzami ministerialnymi współpracowałam w Komisji Programów dla tworzącego się studium stacjonarnego i zaocznego dla magistrów, nauczycieli zatrudnionych w technikach rolniczych. Jednocześnie współpracowałam w komisji PAN-u pod kierunkiem J. Poniatowskiego w układaniu programów dla szkół zawodowych, co znalazło odbicie w redagowanym w Pszczelinie „Poradniku Rolniczym”.

W czterolecie kierowania katedrą i Studium Pedagogicznym prowadziłam wykłady i seminarium na stacjonarnym i zaocznym studium, kierowałam czterema pracami doktorskimi (między innymi Edward Kołowski uzyskał doktorat i objął kierownictwo katedry po moim przejściu na emeryturę). Byłam również członkiem Komisji Programowej w Ministerstwie Oświaty i w Polskiej Akademii Nauk. Współżycie z młodzieżą przebiegało w atmosferze życzliwości, niemal jak

w rodzinie, kierowałam ich praktyką w technikach, uczestniczyłam w wycieczkach zimowych i letnich, w potrzebie okazywałam życzliwą pomoc, za co obdarzono mnie tytułem „Naszej Mamy”. Zdarzały się okoliczności, które tylko ten tytuł usprawiedliwia.

„Na zasłużoną emeryturę” przeszłam w październiku 1966 roku po skończeniu siedemdziesiątego roku życia.

Do roku 1973/74 prowadziłam wykłady i kierowałam pracami dyplomowymi słuchaczy Państwowego Studium Pracowników Kulturalno-Oświatowych, z którego uczestnikami udało mi się zachować kontakt do dziś — koleje ich życia były niekiedy zbieżne z moimi, co ułatwiało porozumienie.

Na pięćdziesięciolecie pracy pedagogicznej otrzymałam papieski medal Pro Ecclesia et Pontifice. Dwudziestego czwartego lutego 1975 roku za udział w konspiracyjnej pracy w czasie okupacji odznaczono mnie Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W latach 1980 ZNP przyznał mi złotą odznakę. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej i Stowarzyszenie Pax powierzały mi do 1982 r. wygłaszanie publicznych odczytów w klubach robotniczych, klubie „Srebrnego Włosa”, służby zdrowia, w bibliotekach dla rodziców i młodzieży, a także dla nauczycieli szkół zawodowych, ogólnokształcących, w klubach akademickich, w szkołach wojskowych im. Czarnieckiego, im. Buczka w Poznaniu z różnych działów pedagogiki i psychologii.

* * *

Spotkania z ludźmi różnego wieku, zawodu i wykształcenia dawały mi wiele zadowolenia i pozwalały na stałe obcowanie z książką. Ceniłam sobie bardzo szczerość, ufność moich słuchaczy, które zobowiązywały mnie do pomocy. Zwierzone tajemnice, różnorakie powikłania życiowe wstrząsały ogromem niedoli ludzkiego losu. Jeżeli udało mi się okazać pomoc, uważam te dni za najbardziej udane społecznie, a zawód nauczycielski za najpiękniejszy!!!

Ludzi, którzy opóźniali mój start życiowy, dziś oceniam spokojnie, i te przeżycia nie są bez wartości — dają zrozumienie i o *altera pars*.

Obecne chwile poświęcam lekturze, na którą wreszcie mam czas, tym bardziej że po złamaniu nogi w kwietniu 1982 r. zawęził się krąg mej ruchliwości.

Kończąc swe *curriculum vitae* wyrazami wdzięczności i podziękii rodzicom, rodzeństwu, młodzieży, współpracownikom na polu pedagogicznym i wychowankom, zwłaszcza szkół im. Zofii Wołowskiej, jak i tym nawet przygodnie spotkanym „na drodze”. Wśród wymienionych byli i tacy, którzy jak „słupy ogniste” wskazywali zakręty drogi życiowej. Pragnę się z nimi spotkać na Jasnym Brzegu, w którego istnienie nigdy nie wątpiłam!

Przypisy

¹ Roman Mleczarski, stryjeczny brat ojca, był jednym ze współzałożycieli „Społem”.

² Wspomnienia o pensji podaje zgodnie z moim artykułem w „Kierunkach”, pt. *Zachować w pamięci*, 7 II 1979.

³ *Wspomnienia o życiu i pracy śp. L. Rudzkiej*, wyd. Koła b. Wychowanek Szkoły L. Rudzkiej, Warszawa 1930.

⁴ *Duma sceny polskiej (Grzymała Siedlecki)*, [w:] *Świat aktorski moich czasów*, Warszawa 1957, s. 48.

⁵ Którego portrety zawieszano „zimnymi rękami” — jaka głosiła opinia „Dziennika Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawy” z 1932 r.

⁶ *Nauczyciele w walce o nową Polskę*, Warszawa 1000 MON, s. 23—32.

W STULECIE POWSTANIA POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

W dniu 20 kwietnia 1989 r. odbyła się w gmachu Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie jednodniowa sesja naukowa z okazji setnej rocznicy powstania Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, które na przestrzeni lat 1888—1939 położyło olbrzymie zasługi w budzeniu świadomości narodowej i zawodowej cieszyńskich pedagogów oraz wniosło znaczący wkład w rozwój postępowego ruchu nauczycielskiego w Polsce.

Organizatorami spotkania obok władz uczelni byli: Śląski Instytut Naukowy w Katowicach, Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego w Cieszynie oraz Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Wisła—Odra w Bielsku Białej. W obradach uczestniczyli pracownicy Filii, członkowie Sekcji Historycznej przy Zarządzie Głównym PZKO w Czeskim Cieszynie, przedstawiciele lokalnych instytucji i organizacji kulturalno-oświatowych oraz studenci. Szczególnie licznie reprezentowane było miejscowe środowisko nauczycielskie.

Otwierając obrady sesji prorektor do spraw Filii doc. dr hab. Wojciech Kojas nawiązał do bogatej tradycji narodowych, kulturalnych i oświatowych regionu cieszyńskiego. Przedpołudniowej części obrad przewodniczył dr Michał Heller.

Wobec niemożliwości przedstawienia w ramach krótkiego sprawozdania wszystkich poruszanych podczas sesji zagadnień ograniczamy się tylko do niezbędnych informacji o zawartości merytorycznej poszczególnych wystąpień.

W referacie wprowadzającym w problematykę sesji dr Edward Buława poddał szczegółowej analizie koncepcję wychowania narodowego Pawła Stalmacha z lat 1845—1849. Scharakteryzował sylwetkę, poglądy, rozległe zainteresowania oraz różnorodne poczynania młodego studenta filozofii i teologii w Bratysławie i w Wiedniu, postaci ważnej dla początków i rozwoju ruchu narodowego w Cieszyńsku.

Stalmach, reprezentujący „wytrwałość graniczącą z uporem i talent pedagogiczny wyższego rzędu”, sposobił się do zawodu nauczycielskiego, marzył o pracy w cieszyńskim gimnazjum. Nie mogąc jednak zrealizować swoich zamierzeń, zdolności pedagogiczne wykorzystywał na łamach redagowanych przez siebie pism, przeobrażając je w „szkołę dla całego regionu”.

Stalmach nie ograniczał się wyłącznie do pracy redaktorskiej, rozwinął on także ożywioną działalność narodową i społeczną. Jemu to właśnie przypada pierwszeństwo w inicjowaniu i organizowaniu różnych polskich instytucji oraz towarzystw kulturalno-oświatowych, które powstały w regionie w drugiej połowie XIX wieku.

Z kolei dr Mirosław Fazan, omawiając ważniejsze etapy rozwoju polskiej kultury na Śląsku Cieszyńskim, naświetlił to społeczno-polityczno-gospodarczych przemian zachodzących na przestrzeni XIX stulecia w regionie oraz wyeksponował kulturotwórczą rolę nielicznej rodzimej inteligencji — głównie nauczycieli. Stanowili oni przykład formowania się tego odłamu polskiej inteligencji, która „wyszła z ludu, wśród niego żyła i dla niego pracowała”. Wiele dziesiątków lat